MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 32. (Nr. 31 skonfiskowany) WARSZAWA, 21 LIPCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

POLSKA I LIKWIDACJA ZWYCIĘSTWA

ZWYCIĘSTWO państw sprzymierzonych, odniesione w roku 1918 doprowadziło do nowego układu stosunków politycznych w Europie, opartego o nowe granice państw, układu bez żadnej wątpliwości bardziej zgodnego z naturalnym porządkiem rzeczy i sprawiedliwszego. Najważniejszym czynnikiem wojny było odbudowanie państwa polskiego; istnienie tego państwa jest nietylko symbolem nowego układu stosunków, lecz główną gwarancją jego istnienia i trwałości. Polska jest filarem sklepienia nowej Europy.

Lecz to, co jest uważane przez jednych za postęp i wyraz prawa i sprawiedliwości, jest krzywdą, bezprawiem i reakcją dla innych. Istnieje szereg narodów i czynników w świecie, które pragną powrotu do stosunków i granic przedwojennych, które od dziesięciu lat koncentrują wszystkie swe wysiłki na jednym celu likwidacji zwycięstwa i powrotu do granic i stosunków przedwojennych. W pierwszym szeregu tych sił, pracujących nad likwidacją zwycięstwa, stoją Niemcy. Że zaś Polska jest tu podstawą nowego porządku, że tylko na gruzach Polski może być odbudowana potęga Niemiec, więc też zagadnieniem centralnem w Europie współczesnej jest przyszłość państwa polskiego. Utrzymanie i rozwój tego państwa jest gwarancją rozwoju Europy po linji wykreślonej przez zwycięstwo z r. 1918, upadek Polski byłby przekreśleniem następstw zwycięstwa, byłby powrotem do Europy z r. 1914.

Warunkiem zaś istnienia państwa polskiego jest posiadanie przez nie ujścia Wisły, oparcie silne o morze. Odebranie Polsce Pomorza, dokonanie raz jeszcze tego, co było dokonane w r. 1772, byłoby wykreśleniem Polski z rzędu narodów wolnych, byłoby faktem, którego koniecznem i szybkiem następstwem byłaby reakcja, zniweczenie następstw wojny, powrót do stanu z r. 1914-go. Walka o Pomorze—to walka o trwanie nowej Europy. Pracując nad utrwaleniem swego istnienia państwowego, pracuje Polska nie tylko na rzecz swoich ściślejszych interesów, lecz także na rzecz lepszego, sprawiedliwszego układu stosunków w naszej części świata. Świadomość tego powinna wzniecić w kierownikach polityki polskiej poczucie wielkiej dziejowej odpowiedzialności wobec własnego narodu i wobec narodów cywilizacji zachodniej.

Jeśli istnienie Polski jest główną stawką w rozgrywającej się przed nami obecnie grze politycznej, to rola i znaczenie polityki polskiej nabiera szczególnej wagi i doniosłości. Z drugiej zaś strony tylko przez związanie sprawy naszej ze sprawą przyszłości Europy, z daniem jej właściwego miejsca wśród ścierających się prądów dziejowych potrafimy tak losami Polski pokierować, by spełniała ona swą misję dziejową i stanęła na wysokości swych zadań.

Akcja na rzecz likwidacji zwycięstwa, nosząca nazwę akcji zmierzającej do likwidacji wojny, jest prowadzona pod hasłami ogólnoludzkiego znaczenia, pod hasłami zapewnienia wiecznego pokoju na świecie. W imię tych haseł prowadzona jest polityka w Genewie, w imię tych haseł podpisano traktaty lokarneńskie, pakt Kelloga, zgodzono się na plan Younga, dąży się do ewakuacji Nadrenji, do zgody francusko-niemieckiej, do federacji państw europejskich. Jako cel główny i święty głoszą dziś politycy wszyst-

kich krajów i narodów pacyfikację świata, urabia się przekonanie, że dla tego celu trzeba ponosić ofiary, że państwa muszą zrezygnować ze swych interesów egoistycznych na rzecz interesu powszechnego — pokoju wiecznego.

Na tym prądzie, rozlewającym się coraz szerzej żegluje polityka niemiecka. Pracuje ona nad wywołaniem przeświadczenia, że zadowolenie Niemiec, wynagrodzenie „krzywd", jakie im wyrządził traktat wersalski jest pierwszym warunkiem pacyfikacji powszechnej. Ten punkt widzenia niemiecki podziela cały szereg czynników międzynarodowych: loże masońskie, finanse międzynarodowe, socjaliści wszystkich krajów, pacyfiści różnego typu i autoramentu.

Jest rzeczą jasną i oczywistą, że przyjdzie chwila, gdy w imię ideału braterstwa ludów i pokoju powszechnego wysunięte będzie żądanie przywrócenia Niemcom ich przedwojennych granic [1]). Nie trzeba być prorokiem, lecz tylko uważnym obserwatorem życia Europy współczesnej, by przepowiedzieć, że odebranie Polsce Pomorza, a więc nowy rozbiór Polski, stanie się postulatem powszechnym, wynikającym logicznie z rozwoju ideologji pacyfistycznej, szerzonej dziś z takiem oddaniem się i namiętnością. Tak, może się to komuś wydać parodoksem, a jednak z ducha lokarneńskiego, z ideologji genewskiej, z paktów Kelloga, z pomysłów federacji europejskiej, ze wszystkich pacyfizmów idzie się prostą i logiczną drogą do rozbiorów Polski! Wszystkie te idealistyczne i pozornie bezinteresowne dążenia godzą się znakomicie z interesami Niemiec, z dążeniami kapitału międzynarodowego i z krajowemi imperjalizmami, które dziś zjawiają się na powierzchni życia światowego...

Jeśli Polska ma istnieć jako państwo, jeśli ma spełnić swą rolę dziejową, to nie może płynąć w tym prądzie. Polityka polska, któraby przesłanki tego prądu wzięła za swoje, któraby szczerze i konsekwentnie współdziałała z wnikaniem w życie wynikających z nich wskazań, prowadziłaby do zniszczenia Polski, przygotowywałaby nowe państwa naszego rozbiory.

A więc może stoimy wobec dylematu: istnienie naszej Ojczyzny lub postęp moralny świata? Może istnienie Polski stoi na przeszkodzie rozwojowi dążeń ku pokojowi powszechnemu i szczęśliwości powszechnej?

Na szczęście tak nie jest! Bo ideologja pacyfizmu jest złudą i kłamstwem.

Jest ona sprzeczna, jak tego uczy historja, z naturą ludzką i naturą rzeczy ludzkich. Jest głębokiem i naiwnem złudzeniem, że w r. 1919 zmienili się ludzie zamieszkujący naszą planetę i stosunki między ludźmi. Rządzą światem naszym te same prawa, grają te same namiętności, nic nie zapowiada zmiany zasadniczej w rozwoju stosunków i w biegu historji. Ciężko zapłacą za swe złudzenia ci, którzy przestaną się liczyć z działaniem odwiecznych praw i zaufają prorokom pacyfizmu! Pacyfizm, jak wiemy z doświadczenia dziejowego, prowadził do wojen w przeszłości i będzie do nich prowadził w przyszłości.

Ideologja pokoju powszechnego oparta jest na tych pierwiastkach w duszy jednostek, które je pchają do życia w spokoju i do życia wygodnego. Tymczasem kultura, do której należymy, kultura zachodnia, rzymska i katolicka oparta jest na nakazach poświęcania dóbr niższego gatunku dla dóbr wyższych, dóbr materjalnych dla dóbr duchowych, jest to kultura ofiary i poświęcenia, stawiania wyżej sprawiedliwości niż pokoju, uznania wojny w imię świętej sprawy. Tylko ideał używania w spokoju dobrobytu i wygód materjalnych może prowadzić do ideologji pacyfistycznej. Ludzkość nie wyzbyła się wielkich dążeń idealnych i walki o najistotniejsze zagadnienia bytu i życia ludzkiego nie są zakończone. Idziemy ku okresowi, gdy rozgorzeją one z nową mocą. Ludzie będą jeszcze oddawali swe życie w ofierze na rzecz swych najgłębszych wierzeń i ideałów. Były wojny religijne i będą jeszcze wojny religijne. Nie używanie życia w pokoju i spokoju, lecz oddanie go w imię ideałów narodowych czy religijnych będzie, jak zawsze było, najwyższem szczęściem i obowiązkiem moralnym człowieka.

Nietylko zatem nakazy narodowe, które mówią, że Polacy muszą dbać o to, by istniała Polska, lecz także względy wynikające z obowiązku obrony nowego, sprawiedliwszego układu stosunków politycznych w Europie, wskazania wynikające z obowiązku obrony przed zagładą kultury zachodniej, rzymskiej i katolickiej, w której wyrośliśmy i która jest naszem najwyższem dobrem i źródłem ożywczem naszego rozwoju, lecz także ideały etyczne, głęboko zakorzenione w naszych duszach nakazują nam walkę z bezdusznym i materjalistycznym pacyfizmem, stawiającym brutalny, poziomy i bezpośredni interes jednostki ponad interesy zbiorowości narodowej, ludzkości i ducha.

Polityka nie jest brutalną grą interesów, prowadzoną przez ludzi mających jedynie swój interes, lub też interes swych najbliższych na celu. Jest ona także służbą ideałom, udziałem w wypełnianiu misji dziejowej narodu. Nie może się ona odgrodzić od prądów przedzielających ludzkość w danym momencie dziejowym. Musi się na takich prądach opierać także polityka polska. Wszystkie względy wszakże — narodowe, ludzkie, moralne i religijne — przemawiają za tem, że polityka nasza nie może się opierać na ideologji materjalistycznej pacyfizmu powszechnego. Ideologja ta prowadzi z fatalną koniecznością do pomniejszenia naszej duszy i do zniweczenia materjalnej postaci duszy narodu—państwa polskiego.

STANISŁAW KOZICKI

---

[1]) Warto przypomnieć stanowisko Voltaire'a i innych ludzi wieku Oświecenia wobec rozbiorów Polski.

ANTE BELLUM

WIELKA wojna wybuchnęła pod sztandarem obrony narodów wolnych przed najazdem niemieckiego imperjalizmu oraz wyzwolenia niewolnych z pod niemieckiego jarzma. Cel ten osiągnęła. Wszelako w atmosferze owych wzniosłych haseł, niezbędnych wówczas, ażeby porwać suwerenne demokracje zachodu do przelewu własnej krwi na polach bitew, zmurowany został uporczywy nastrój uczuć, którego powojenny odpowiednik, jednako niebezpieczny w swej naiwności lub obłudzie, stanowi pacyfizm. Użytecznym więc być winien trzeźwy rzut oka w kierunku pewnej siły dziejowo-twórczej, której groźny nacisk, swojego czasu, wojnę światu narzucił, a dziś ją znowu narzucić może. W świetle refleksyj na ten temat, obok samej prawdy, jaskawo wystąpić musi na jaw błąd myśli pacyfistycznej, stawiającej wielki przełom dziejowy pod kątem takich zagadnień jak: wina, kara, poprawa, zgoda...

Powszechnie wiadomo, iż wielka wojna miała swoje „przyczyny ekonomiczne". Ogólnikowa świadomość tego faktu bynajmniej jednak nie przeszkadza, że zachodnio-europejska opinja publiczna nie docenia jego rozstrzygającej doniosłości: nie przestaje też tak zachowywać się i wpływać na politykę rządów, jakby ów fakt posiadał znaczenie podrzędne w porównaniu z imperjalistyczną psychiką sfer rządzących Niemcami przed wojną. Gdyby tak było, to istotnie Niemcy byłyby „niewinne" wybuchu wielkiej wojny, a przeto posiadałyby tytuł moralny do polskiej wdzięczności, albowiem ta wojna przyniosła nam wolność. Rzecz wszakże miała się inaczej i jedynie za błędy polityczne, które Niemcom zgotowały w wojnie klęskę, mogłaby się Polska poczuwać do „wdzięczności", gdyby błędy nie były zazwyczaj popełniane mimowolnie...

W okresie poprzedzającym wojnę hyperindustrjalistyczne i absolutnie przeludnione gospodarstwo narodowe Niemiec wyraźnie uderzyło głową o mur, na drodze dalszego swego rozwoju a nawet wprost egzystencji. Był to wprawdzie mur dopiero prowizoryczny, który nie na tem polegał jakoby pojemność rynku światowego zasadniczo już rozszerzoną być nie mogła, (czego i dziś jeszcze powiedzieć się nie da) jednakże był to twardy i groźny mur doraźny, zbudowany przez szybszy niźli rozwój światowego zbytu, rozrost wytwórczości oraz współzawodnictwo trzech potęg industralistycznych: Anglji, Ameryki i Niemiec.

Roczny przyrost ludności w Niemczech dochodził wówczas miliona głów, deficyt żywnościowy sięgał 40% rocznego importu, pokrywany być musiał prawie wyłącznie wywozem fabrykatów. Ale na bierny bilans handlowy kryty czynnym bilansem płatniczym, wzorem Anglji, mogłyby sobie Niemcy tylko w nieznacznej mierze pozwolić, mając inwestowanego zagranicą kapitału czterykroć mniej niźli ona, a dwakroć mniej niźli Francja, przy większej wartości majątku narodowego i większej liczbie ludności. Handel, handel i głównie tylko handel zagraniczny oparty na potężnym przemyśle rodzimym był ich jedyną nadzieją. I to handel coraz szerszy coraz rozleglejszy, bo deficyt żywnościowy wzmagał się co roku, a potrzeby miliona głów, dla których utrzymania wypadało corocznie inwestować w rozwój przetwórczego warsztatu kilkanaście procent dochodu narodowego brutto. Jakie mogło być wyjście z podobnej sytuacji dla wielkokapilistycznego olbrzyma, jeśli równocześnie światowy rynek zbytu nietylko nie rozszerzał się, lecz raczej przeciwnie zacieśniał: już to dzięki współzawodnictwu innych potęg industrjalistycznych, już dzięki wzrastającej samowystarczalności przemysłowej krajów i nieprzeludnionych i rolnych?

Wyjść było kilka. Najłatwiejsze, ale zarazem dla interesowanego mocarstwa najsmutniejsze, to albo sztuczne ograniczenie liczby urodzin, stosowane we Francji, albo eksport „zbywającego" ludzkiego materjału do obcych, dalekich krajów, czyli upust żywej krwi z organizmu narodowego na przepadłe. Łatwo zrozumieć, że te środki niemcy stosowali tylko w ograniczonej mierze i w ostatnim rzędzie. Inne zaś wyjścia prędzej lub później prowadziły do najostrzejszych t. j. zbrojnych aktów międzynarodowej walki o byt. Tutaj poczęści zaliczyć można walkę eksterminacyjną przeciwko wielkopolanom. Jej cel ekonomiczny polegał na tem, by wyrugować żywioł polski z jego ojczystej ziemi i zrobić na niej miejsce dla niemców; równocześnie zaś uwolnić od nieprzychylnej dla Prus ludności, ważną pod względem strategicznym okolicę oraz rozwiązać sobie ręce wobec Rosji, usuwając konieczność liczenia się z nią—na gruncie przeciwpolskim. Pośród innych niemieckich dróg wyjścia ze ślepego ekonomicznego zaułka najbardziej jeszcze łagodny charakter nosiła *penetration pacifique* nadmiaru ludności i części kapitałów do krajów ościennych, niżej stojących pod względem kultury gospodarczej. Ten rodzaj emigracji spotyka się zazwyczaj z wielką niechęcią krajów przez nią nawiedzanych, tem większą w wypadku niemieckim, ze względu na właściwości psychiczne rasy, zwłaszcza jej najliczniejszego pruskiego odłamu. Przedwojenny wylew ościennej emigracji niemieckiej był stosunkowo najmniej niebezpieczny dla niedoludnionej, lecz bogatej i kulturalnej Francji, o wiele niebezpieczniejszy dla Włoch. Tutaj zwolna począł on przybierać postać jakby przejściową do mniej „doskonalszej" formy ekspansji, która na tem polega, iż *penetration pacifique* bardziej rzutkiego i zamożnego ludzkiego elementu w środowisku gospodarczem słabszem zwolna oddaje w ręce przybyszów kierownictwo ekonomiczne narodem „penetrowanym". W ślad za niem idzie wpływ polityczny owego żywiołu, oraz pośrednio jego metropolji. Ta procedura dość żywo przypomina średniowieczną *conquête territoriale* t. j. wlew zdobywców na stanowisko arystokracji rządzącej krajem podbitym. W swej złagodzonej i spacyfizowanej formie nowoczesnej w ostatecznych konsekwencjach wiedzie ona jednak również w prostej linji do wasalizacji tak gospodarczej, jak politycznej państwa „przenikanego" przez państwo „przenikające".

Droga ta bardzo niemcom przypadła do gustu, wszelako jej ilościowa pojemność była dość ograniczona. Włochy jako jej teren nie wystarczały. Niezależnie od częściowego tutaj sukcesu, stawało się ponad wszelką wątpliwość jasnem, że jeśli zaludnienie terytorjum niemieckiego dało się podnieść z 35 miljonów głów w r. 1850 na blisko 70 w r. 1913, dzięki przebudowie gospodarstwa narodowego na typ wielkoindustrjalistyczny, ściągający żywność ze świata, to dalsza w tem tempie progresja rozrodcza, do 100 i więcej miljonów, wymaga nieodzownie: albo zapewnienia, choćby siłą zbrojną, monopolu na nowych rynkach zbytu, albo rozszerzenia, również choćby siłą, terytorjalnej podstawy gospodarczej, źródła żywności i surowców. Niemcy zakrzątnęli się dokoła tych zadań z rozpędem, aż nadto żywiołowym, gdyż rozstrze-

lonym i mało planowym. Coś pośredniego pomiędzy obszarem penetracyjno-inwestycyjnym a bogatą, kolonjalną, ziemią dziewiczą, znaleźli sobie w Turcji, która im ponadto wspaniale pasowała do wielkiej syntezy strategicznej, opartej o sojusz z Austro-Węgrami i słynną oś trzech B (Berlin, Bizancjum, Bagdad). Synteza ta była groźną zarówno dla Rosji (Dardanele) jak Anglji (Suez). Równocześnie i równolegle, pociągnięci rozmachem swego wielkiego industrjalizmu najpotężniejszy prąd swej politycznej energji skierowali niemcy na front bezpośredniej walki z Anglją o rynki zbytu, (oraz z Francją o kolonje), zatem na zachód i na morze. Co ciekawe, to, że przytem nie kwapili się zbytnio z odpowiedniem wyzyskaniem dla celów emigracyjnych, a więc ulgi w kryzysie rozrodczym, własnych, już przez nich posiadanych, kolonij, zwłaszcza Afryki południowo-zachodniej, która bądź co bądź dla kolonizacji przez rasę białą się nadaje. Powód poczęści był racjonalny i wypływał z absolutnej zależności kontaktu pomiędzy niemieckiemi kolonjami a macierzą od przewagi flot wielkobrytańskich. Pozatem jednak zaznaczył się w Niemczech znamienny objaw, trwający do dziś dnia we wszystkich państwach industrjalistycznych, który na tem polega, że ludność tak jest przywiązana do wielkomiejskiego typu egzystencji, iż woli raczej pozostawać na bruku bez pracy i żyć z zapomóg, niźli przesiedlać się choćby na wieś z rodziną, cóż zaś dopiero do zamorskich kolonij.

Na losach Niemiec szczególnie silnie zaciążyła prężność ekspansyjna niemieckiego industrjalizmu orjentowana bezpośrednio na morza zachodnie, ona to bowiem nie pozwoliła polityce niemieckiej szukać i znaleźć dróg rozsądnego kompromisu z Anglją. Kompromis ten był możliwy za cenę uszanowania angielskiej sfery wpływów w sąsiedztwie Suezu i Zatoki Perskiej, nietykalności Belgji, oraz poniechania wyścigu zbrojeń marynarskich. Przynieść mógł Niemcom nieoszacowane korzyści podczas wojny, gdyż zabezpieczyłby je przed blokadą morską, pozwalając równocześnie blokować Rosję, oraz zwrócić przeciw niej główne siły lądowe, ograniczając się na zachodzie do strony niewielkiego odcinka lotaryńskiego Nietykalność Belgji ze strony francuskiej (co Niemcy lubią kwestjonować) byłaby również gwarantowana przez Anglię. Nie byłaby Anglja wprawdzie skłonna dopuścić do zbyt silnej niemieckiej ekspansji na wschód, np. po Dźwinę a zwłaszcza Dniepr, gdyż to by ją samą oddawało na łaskę i niełaskę Niemiec na Bliskim Wschodzie; lecz w pierwszym momencie wojny mogłoby to się było okazać ponad siły W. Brytanji. W każdym razie w kompromisie z Anglią mogli byli Niemcy zapewnić sobie trwałą przewagę na bałkańskim pomoście do Turcji, otworzyć w tym kierunku obszerne, trwałe ujście dla swej prężności gospodarczej i politycznej, oraz osiągnąć nowe, dobre punkty wyjścia na przyszłość.

Na szczęście dla Polski stało się inaczej, albowiem żywiołowe tendencje ekspansyjne Niemiec oraz ciągnąca w ich ogonie polityka cesarska nie umiały skoncentrować nacisku w jednym kierunku, lecz rozrzuciły i rozszastały swe siły na wszystkich frontach, powodując wzmocnienie wszystkich możliwych współzawodników i przeciwników. Hałaśliwe, długoletnie awantury marokańskie, za cenę budowy wielkiej floty, przyniosły Niemcom w r. 1911... zaokrąglenie „kaczego dzióba" w Kamerunie. Fiasko krzyczące. Bezsilność oczywista. Barjerą zwycięskich państw bałkańskich zatarasowała wkrótce potem Rosja kolej bagdadzką. Nie zdołały Niemcy tej barjery okrążyć przez Albanję ks. Wieda. Wreszcie Rosja poczęła się rozwijać przemysłowo i Niemcy poczęły w niej tracić jeden z pierwszorzędnych swych rynków zbytu. Znikła nadzieja na odnowienie korzystnego z Rosją traktatu handlowego, otrzymanego za neutralność niemiecką w wojnie rosyjsko-japońskiej. Co to wszystko znaczyło dla Niemiec, wynika z wyżej określonego ich gospodarczego położenia. Niemcy więc przy pierwszej okazji dobyły miecza. Zgodnie z zasadniczo rozstrzelonem nastawieniem swej polityki odrazu przeciwko wszystkim. Aż rozdarły się w końcu pomiędzy „Drang'iem nach Bagdad" z jednej strony, z drugiej zaś Wilhelma II: „die Zuhunft Deutschlands liegt auf dem Wasser". Zdradliwa woda...

Tak się przedstawia w zwięzłej charakterystyce, istota ekonomicznych przyczyn wielkiej wojny oraz udział jaki w jej przygotowaniu i przeprowadzeniu przypada psychice niemieckiej. Nie rozstrzygnęła ona bynajmniej losów pokoju, jak to lubią utrzymywać pacyfiści, nawet urzędowi i nawet w traktacie wersalskim. Natomiast w pewnej mierze mogła się przyczynić do pogłębienia błędów polityki, które spowodowały klęskę niemiecką. Błogosławione postokroć są te błędy dla Polski. Niestety jednak Niemcy nie ujawniły po wielkiej wojnie skłonności do ich powtórzenia. Przeciwnie cała ich polityka nastawiona jest obecnie na obłudną zgodę z zachodem i odnowienie „Drang'u nach Osten". Zachód zaś nie zdaje się być skłonnym do wyciągnięcia równie pouczających dla siebie wniosków z wojennego doświadczenia.

Ekonomiczne przyczyny, które spowodowały największy w dziejach kataklizm wojenny nie zostały przezeń bynajmniej usunięte, lecz przeciwnie zaostrzone. Niemców wprawdzie fizycznie obezwładniono na morzu, a odsunięto daleko od Bizancjum i Bagdadu, lecz ani na jotę nie zmniejszył się przez to dla nich nieubłagany nacisk przeludnienia. Pozostały więc nadal potworną skrzynią dynamitu umieszczoną w sercu Europy, którą tylko powaga potęg ościennych może powstrzymać od wybuchu. Wszelkie zwolnienie więzów automatycznie musi odrodzić niemiecką prężność ekspansyjną, zwłaszcza w kierunku najmniejszego oporu, choćby zatem *pénetration pacifique* ku Wiśle i Dunajowi. Tak by musiało być nawet gdyby w duchowości niemieckiej mniejszą odgrywał rolę pierwiastek wilczy. O tem niepowinni zapominać ci wszyscy, którzy dopatrują się w niemcach znamion „poprawy" i usiłują doprowadzić z nimi do „zgody".

Wielka wojna pozostawiła nierozstrzygniętą „kwestję niemiecką". Ze stanowiska interesów wersalskiej Europy nie może ona być rozstrzygniętą tak, jak pragną tego niemcy. Do tego zaś logicznie prowadzi polityka pacyfistyczna, która im przywraca swobodę ruchów. Zarówno ze względów ludzkich, jak też z powodu wartości jaką gospodarstwo narodowe i kultura materjalna Niemiec przedstawiają dla świata, nie można im odmówić prawa do rozwoju oraz do odpowiedniego „miejsca pod słońcem". Nie można wszakże pozwolić, by je sobie zdobywali w Europie na swych sąsiadach. Pierwszym warunkiem racjonalnej „zgody" z Niemcami jest zachować nad niemi przewagę i wskazać dla ich energji żywotnej takie wyjścia, gdzieby ona dla zwycięsców nie była szkodliwą, lecz raczej użyteczną. W pewnej mierze ujście takie powinno się dla Niemiec, zarówno jak dla innych mocarstw wielko-kapitalistycznych, znaleźć w tymczasowem choćby, przełamaniu światowego kryzysu gospodarczego, w równomiernem rozprowadzeniu kapitałów po świecie, w rozwoju gospodarczym krajów gospodarczo-niedorozwiniętych w rozszerzeniu zatem światowego ryn-

ku zbytu. Ponadto jednak należy się Niemcom niewątpliwie i słusznie duża, wartościowa, obfita w surowce, nadająca się dla emigracji, kolonja zamorska. Wzamian za to należałoby im radykalnie zabarykadować najkonieczniejszą dla nich drogę ekspansji wschodniej.

Oczywiście nikt w Europie nic podobnego teraz nie zamierza. Na porządek dzienny, pośród pacyfistycznych chęci, wchodzi raczej, uroczyste zdjęcie Niemcom reńskiego kagańca. Potem się okaże czy się już „poprawiły".

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

DROGI I BEZDROŻA NOWEGO WYCHOWANIA III.

IDEA TWÓRCZOŚCI

IDEA pracy oraz idea wolności nie wyczerpują ideowych podstaw nowego wychowania. Wymagają jeszcze czegoś, czegoś co dokonałoby ich syntezy. Głosząc hasło pracy, wymagamy przecież wytężonego wysiłku, opanowania się, podporządkowania czemuś, wymagamy jednolitości i ciągłości napięcia sił — głosząc zaś hasło wolności uprawniamy swobodne wyżywanie się, radość osobistych, a choćby bezpłodnych, nastrojów, indywidualnych pragnień. Jakże więc pogodzić pracę i wolność? Pogodzenie tej sprzeczności, niezmiernie charakterystycznej dla nowego wychowania, odnajdujemy w idei twórczości. Twórczość jest przecież taką wolną pracą, która posiada w sobie element owocności, właściwy pracy, pozbawiając ją jednak charakteru przymusu oraz posiada element swobody, a właściwy wolności, usuwając z niej jednak nieopanowane pasorzytnictwo. Twórczość jest istotnem pogodzeniem pracy i wolności, ich syntezą. Idea twórczości więc jest najgłębszą podstawą, a zarazem celem najwyższym nowego wychowania: Widać to wyraźnie w prądach dydaktycznych. Skoro nauczanie oparte ma być na idei twórczości związane być musi z indywidualnem zainteresowaniem. Stąd próby zastąpienia nauczania — uczeniem się. Przybierają one kształty przeróżne. Od umiarkowanej „szkoły pracy", polegającej na ograniczaniu wykładu i zadawania z podręcznika, a kładzeniu nacisku na bezpośrednie zetknięcie się ucznia z materjałem źródłowym, w celu rozbudzenia zdolności samodzielnej obserwacji i wnioskowania, aż do rewolucyjnych szkół a raczej prób, opierających wszystko na zmiennych zainteresowaniach dzieci, snuje się długa droga projektów, pomysłów i zdobyczy.

Znaczniejszy rozgłos uzyskał w Polsce system daltoński, który zrywa z nauczaniem klasowem na rzecz grupowania pracy wokół przedmiotów, tak iż uczniowie dowolnie, w ramach miesiąca, rozporządzać mogą swym czasem, bacząc jednak, aby wykonali we właściwym czasie naznaczone im prace. System ten ma znaczne zalety: umożliwia uczniom kształcić się w tem tempie, jakiego zdolności ich wymagają, ułatwia nauczycielowi odmienne traktowanie zdolniejszych i słabszych, wprowadza bliższy, bezpośredni kontakt ucznia i nauczyciela. Ma jednak również i wady bardzo poważne. Rozbijając klasę, stwarzając na jej miejsce laboratorjum cichych pracowników — niszczy, a w każdym razie nie pielęgnuje, życia zbiorowego; opierając się na metodzie udzielania tematów prac i notowania w karcie pracy wyników, wprowadza do nauki ducha gospodarczych kontraktów i zobowiązań indywidualnych. Nie dla innych — i nawet nie dla siebie się uczę, ale, aby wykonać kontrakt zawarty z nauczycielem.

System daltoński, który wymaga zresztą bardziej szczegółowej krytyki, ujawnia też charakterystyczne konsekwencje idei twórczości w dziedzinie wychowawczej. Widzieliśmy, iż rozbija on społeczność, wysuwa na plan pierwszy wolne jednostki. Szczycą się z tego otwarcie niektórzy daltoniści. W jednostce bowiem — głoszą — jest jedyne źródło sił i wartości. Stąd kult indywidualizmu i swobody. Ale jednocześnie sprawy społeczne nie mogą być pominięte i jakiś związek jednostki z grupą musi być ustalony. Związek ten oparty ma być na idei współżycia. Jest to idea, która od wieków zyskiwała uznanie tem większe, im wyraźniej słabł wpływ czynników ponadludzkich. Im bardziej sama pozostawała ludzkość na ziemi, im bardziej urządzenie jej życia od niej samej zależało, im badziej komplikowało się życie, tem wyraźniejszy kładziono nacisk na rolę i wartość kooperacji. Ale kooperacja jest zasadą wymagającą nowych jeszcze uzasadnień. Bo czyż dlatego mam służyć społeczeństwu, aby osiągać zgodną harmonję sił?

Głęboka idea twórczości okazuje się trudną do zrealizowania. Teoretycy nowego wychowania, widząc jasno doniosłość jej wielką, jako syntezy pracy i wolności, czynią różnorodne wysiłki, aby ją w praktyce wychowawczej osiągnąć. Aby wyjaśnić trudności i przeszkody, jakie się tu napotyka, zwrócimy uwagę na to, czem jest w istocie swej twórczość prawdziwa, i o ile współczesne popularne pojęcie jej od tego odbiega.

Aby twórczość istniała trzeba—ducha, trzeba by żył twórca i by miał dla kogo tworzyć. Jest to prosta prawda a jednak zapominana. Twórczość wysyłana w przedwór nie jest emanacją zamkniętej monady jest związana z rzeczywistością. Dlatego też natężenie jej wzrasta w miarę natężenia związku z rzeczywistością. Związek ten musi jednak być wyznaczony przez wewnętrzne procesy. Idea kooperacji zespala ludzi z ludźmi w ten sposób tylko w jaki koleje wiążą ziemie i narody. Dla twórczości trzeba zespoleń wewnętrznych, duchowych. Wspólna geneza kulturalna wspólny cel zespalają ludzi naprawdę a nie wspólny interes, który tylko ich przegrupowuje. Dlatego wątpliwą i wąską drogą do krainy twórczości jest dysocjacja społeczna, widoczna, mimo patosu deklamacji o międzynarodowem współżyciu, w nowem wychowaniu.

Ale twórczość ma głębsze jeszcze podstawy. Wiązać się musi z jakąś prawdą. Gdy tymczasem twórczość w naszej kulturze współczesnej ma wyraźnie ekspresjonistyczny charakter, jest wyżywaniem — a nie służbą idei. Pojęcie prawdy objektywnej zanika. W nauce zastępuje się je pojęciem użyteczności lub poprawności formalnej, w życiu politycznem partje reprezentują tylko „stanowiska", w moralności normy stają się postanowieniami lub wytworem struktury społecznej, religja—zbiorem przeżyć psychicznych, a nawet dzieje zastępuje się dowolnością obrazu, który jest właściwie tylko samopoznaniem epoki, która bada. Swiat cały napełniony jest człowiekiem i na cokolwiek spojrzą ludzie widzą w tem swój twór własny. To uczłowieczenie świata pociąga za sobą dumę i niepokój, bo jeśli wszystko jest ludzkie tylko, to czemże jest człowiek? I jakiż sens i podstawy ma w takim razie jego twórczość?

Tak oto twórczość pełna wymaga nietylko żywych związków człowieka z ludźmi, ale i człowieka z metafizyką lub religią. Jeśli wychowanie ma być naprawdę głęboko trwałe i owocne, oprzeć się musi na takiej twórczości. Pojęcie twórczości jako indywidualnej ekspresji, regulowanej wymaganiami kooperacji ludzi, nie posiada dość siły i rozległości moralnej, aby objąć osobowość i kształcić.

Dochodzimy więc do wniosków ostatecznych. Hasła nowego wychowania wnoszą wiele pierwiastków ożywczych w dziedzinie dydaktycznej: uwydatniają potrzebę indywidualizowania w nauczaniu, próbując różnemi sposobami uczynić jej zadość, kładą nacisk, aby uczeń nietylko przejmował wiadomości, ale też—i to głównie—aby ćwiczył samodzielnie spostrzegawczość swą i inteligencję, usiłują zetknąć młodzież bezpośrednio ze światem umarłym lub żywym, a nietylko z książką; wyrabiają samodzielność i odpowiedzialność intelektualną. Ale wiążą wiedzę i życie wyłącznie w płaszczyźnie utylitarnej, jednostronnie rozumianej idei pracy oraz wiodą w dziedzinie wychowawczej do konsekwencyj niejasnych lub niebezpiecznych. Z wartościowych poczynań, mających na celu głębsze umocnienie norm moralnych, przez to iż się zezwala na większą, niż dawniej, swobodę i samodzielność — wyrasta relatywizacja wszelkich norm i wogóle zaprzepaszczenie idei normy, nakazu — na rzecz wytworu i postanowienia; z obrony indywidualności wyrasta egocentryczny ekspresjonizm, z chęci zespolenia grupy—zrozumienie i odczucie wyłącznie dobrze skalkulowanych kontraktów. Dzieje się tak dlatego, iż brak tym, wartościowym niekiedy, posunięciom praktycznym pewnej podstawy, którą stać się nie mgą, powszechnie uznawane, a jednostronnie rozumiane idee pracy, wolności i twórczości.

Jak długo na rozumieniu tych idej ciężyć będzie duch nowoczesnej kultury, jak długo nie opanują ich siły nowe, budzące się już, tak długo wartościowe drogi nowego wychowania oplatane będą tysiącem bezdroży.

Wychowanie jest bowiem w swej najgłębszej istocie rozwojem ducha i dlatego tylko siłą ducha opanować i pokierować niem można. Tej siły ducha nie wykazują zanalizowane podstawy nowego wychowania, zawieszone w próżni naszej epoki przejścia, nie umiejące — jak sami ich twórcy przyznają, a czasem i głoszą jako program—wytworzyć celu wychowania, celu, któryby był celem prawdziwym, a nietylko formalną i martwą literą dalekie, jak widzieliśmy, od spraw ducha wogóle i dlatego niezdolne do objęcia i umocnienia osobowości.

BOGDAN SUCHODOLSKI

LEGENDY IŁŁAKOWICZÓWNY

LEGENDY Iłłakowiczówny *) są długiem, spłaconym za naszą średniowieczną wegetację literacką, triumfem artystki na polu zaniedbanem przez polskich poetów. Nie poddała się poetka sugestji panliryzmu, nie pociągnęły jej także gawędy o świętych. Bliska Lenartowiczowi przez koloryt budowy swych utworów, humor naiwny i epicką prostotę narracji, przewyższyła go w wyrazie intensywności, siły i grozy, w zwartości kompozycji.

Wspólna całemu zbiorowi tendencja artystyczna to postaciowanie sił duchowych, przeżyć i wizyj. Rzeczywistość jawi się tu raczej w skrótach obrazowych, zarysach i sylwetach, świat nadnaturalny natomiast uzyskuje precyzyjne formy. Przez szczegółowość obrazu gruntuje poetka jego byt w przestrzeni i czasie. Oto św. Magdalena ukazuje się dziewczętom wiejskim. Jej obecność zostaje poświadczona dokładnością portretu: „Miała warkocz potargany i w perłach, szatę—dawniej złotą, dziś od spieki — rudą; barki były smukłe, stopy — wąskie, oczy jak zagasłe, wypalone cudo; wyciągnęła małe, suche ręce, dzwoniąc cekinami cygańskiemi?.. żydowskiemi?.. (Święta Magdalena w podróży).

Gdy święty żyje wśród nas, albo gdy czytelnik, wolą poetki przeniesiony w przeszłość, czuje się mu współczesnym, wówczas w pełni światła, na głównem polu widzenia ukazują się obrazy wizyjne. Tak więc postać ks. Budkiewicza, jego więzienie, salę sądową Iłłakowiczówna zaledwie oznacza; bogactwem treści obrazowej przesłania całą tę ziemską scenę wizja raju.

Jeszcze silniej uwydatnia się ta metoda w cielesności duszy. Oto u wrót niebieskich błąkająca się matka Lenina: „dusza mała, starcza, osobliwa, smutna wielce, widać, choć chustą oczy zakrywa. Krzyżyk ma na sukni wyszarzałej, zrudziałej"... (O p o w i e ś ć o M o s k i e w s k i e m M ę c z e ń s t w i e). Niekiedy rolę czynnika nadprzyrodzonego pełnią zwierzęta, wtedy są szczególnie wyraziste i w oczywisty konkretny sposób obecne, jak święty ptak, towarzyszący św. Krystynce, który „tupoce suchemi, twardemi po podłodze pazurkami, słychać jak trzepie skrzydłami, widać jak mruga oczami". (Duszka Świętej Krystyny).

Realizm fantastyczny Iłłakowiczówny wyraża się także w przygotowaniu atmosfery do ujrzenia i uznania cudu.

Nastrój Wielkiego Tygodnia, żarliwe modlitwy księży polskich i ludu rosyjskiego motywują wizje ks. Budkiewicza, żołnierza czerwonego, Fomy a także epilog legendy.

Tajemnicę dzwoniącego kościoła rozpozna mała Jadwisia, której „śniła się malwa złota w najświętszym kielichu, śnił się jej krawiec Walenty w skrzydłach i z liljąˮ... (O D z w o n i ą c y m K o ś c i e l e).

Motywowanie cudu jest różnorodne, a zawsze sugestywne. Sprzężenie dwóch niewspółmiernych światów w poezji Iłłakowiczówny odczuwany zrazu jako wstrząs; budzi się w nas zdumienie, podziw, niepokój. Dochodzi niekiedy do gwałtownych przemian w naturze, do oszałamiającej intensywności zjawisk (Opowieść Małżonki Świętego Aleksego). Poetka na tem nie poprzestaje. W drugiem stadjum tematu następuje zrównanie obu płaszczyzn. Dokonywa się to albo przez uświęcenie człowieka, albo przez podkreślenie ziemskości ducha.

Degradacja, towarzysząca zniesieniu dystansu między niebem a ziemią wywołuje częstokroć wraże-

*) I. K. Iłłakowicz: „Opowieść o moskiewskiem męczeństwie. Złoty wianek". Warszawa, F. Hoesik, r. 1927 str. 108.

nie komiczne, które znów przez obecność piękna moralnego w duszy ludzkiej, podnosi się do wyżyn humoru. Sierotka Jadwisia dziwuje się z całej duszy cudom. Ale gdy św. Jadwiga zwraca się do niej i do Burka jak ktoś swój, bliski, kiedy przedstawia jej z imienia świętych, obecnych na cmentarzu i przestrzega dziewczynkę: „Weźno psa na ten sznurek, przytrzymaj trocha, bo złośliwy jest i gotów zagryść psa świętego Rocha". Jadwisia czuje się nagle zadomowioną w gronie gości niebieskich, a jej pies wśród ich zwierząt. Dlatego też dziecięcym zwyczajem prosi sierotka św. Krzysztofa, by ją podsadził do kościelnego okna, (O Dzwoniącym Kościele). Humor w fantastyce Iłłakowiczówny ma swoje odcienie. Śmiejemy się z księdza, który słysząc dzwony śród nocy, ubiera się jak na nabożeństwo i „nie może znaleźć okularów, co wpadły za bibułę". Uśmiechamy się gdy św. Hieronim „lwa opodal przywiązuje do topoli, bo dzikiego zwierza na uwięzi trzymać woli" (i t. d). Szczególna wesołość jak słońce z za chmur przyświeca w ostatnim obrazie Opowieści o Moskiewskiem Męczeństwie, gdy przez śmierć okrutną wydarty ziemi wędruje kapłan polski do wrót niebieskiego pałacu. Widzimy przed sobą żywego człowieka, bliskiego celu swej wędrówki. Wymienia go poetka z imienia i z nazwiska, stwierdzając przez to tożsamość dobrze znanej sobie i nam osoby: „Szedł sługa Boży, ksiądz Konstanty Budkiewicz i już blisko niebieskich bram — nagle mu się zdało, że jest nie całkiem sam"...

Kiedy mowa o fantastycznym realizmie Iłłakowiczówny, o jej umiejętności przesycania zaświata żywiołami ziemi, nasuwa się inna jeszcze obserwacja. Dotyczy to kunsztownej prostoty stylu klasycznego poetki. Umiar i dyskrecja jej poetyckiego języka nabierają szczególnego wdzięku, gdy autorka sięgnie do bujnej, nieujarzmionej mowy codziennej. W momentach tych zaciera się granica między tworzącą swobodnie naturą a sztuką wybitnie konstrukcyjną. Słowa potoczne, mówione na codzień czy do siebie tylko, odcinają się wdzięcznie jak serdeczna nieporadna mowa wśród świetnych przemówień. Kiedy poetka maluje prześliczną idyllę, ów domek i sad rodziców św. Jana Nepomucena, dodaje od siebie słowa usprawiedliwienia: „Któż miał okopywać, płot stawiać i pleć? ojciec był siwiutki — skąd mu się tam miało chcieć!"

Czasem odezwie się w legendach tok dziecięcego stylu. I znów przyjmie się na drzewie sztuki szczepionka przeniesiona z życia, popłyną niepoprawione umyślnie przez artystę naiwne słowa.

Jednoczący wszystkie utwory styl poetycki, w którym wzniosłość, tragizm, humor i komizm występują w różnych związkach, łączy się ze stałą tendencją rytmiczną. Poetka skłania się ku wierszom długim, których człony silnie odcina przez powtórzenia, wyszczególnienia, crescenda. Wiersze krótkie — rzecz charakterystyczna — przeważają w legendzie o silnem napięciu dramatycznem. (Opowieść o Moskiewskiem Męczeństwie).

Ogólną jest także ludowa stylizacja utworów, występująca najwyraźniej w „Opowieści o Moskiewskiem Męczeństwie". Środowisko rosyjskie wyzyskała Iłłakowiczówna znakomicie, wprowadzając motywy bylin i pieśni ruskich zarówno w ideowej jak też w artystycznej interpretacji tematu. Bohaterami legend są święci, sprzymierzeni z aniołami i ich wrogowie. O aniołach słyszymy, że obsiadają krawędzie światłości wśród gwiazd, że stają na świadectwo prawdzie z krzewem kwitnącym w dłoni, że jak słupy światła strzegą umarłych, a w rajskiem jeziorze piorą chusty przezroczystemi palcami. Mniej nierównie znaczą w legendach złe duchy, które jak w polskich opowieściach ludowych i tu także unicestwia wszechmoc Boga.

Najbardziej wyrazisty jest obraz djabła, schylającego się nad Trockim podczas jego cichej narady z Leninem: „ktoś czarny wyleciał z kąta i nad nim loty zniżał, coś kreślił na czołach spoconych: co napisze — to za chwilę zetrze... A potem szponami u rąk i stóp skrzydeł niespokojne zagarniał powietrze..."

Przy zasadniczej jedności rodzaju i stylu, uderza w zbiorze legend równie mocno indywidualizacja tematów i ich poetyckich kształtów.

Ze względu na tworzywo poetyckie obok legend opartych na fabułach tradycyjnych pojawia się utwór, skonstruowany według danych współczesnej poetce rzeczywistości, coś jak artystyczna zapowiedź kanonizacji ks. Budkiewicza (Opowieść o Mosk. Męcz.).

Ze względu na kształt wyróżnić można w zbiorze: misterjum niesceniczne, żywot świętego, spowiedź świętego, jego ukazanie się po śmierci, jego cuda. Na jednym więc krańcu — pełny schemat dramatu, na przeciwnym — epizod z życia bohatera urwany, fragmentaryczny.

W jednej legendzie układ wielopłaszczyznowy w innej przedewszystkiem wybuch liryczny. Napięcie najsilniej oddane jest w tęsknocie i w wyrzutach sumienia.

O stosunku Iłłakowiczówny do wątków tradycyjnych niech zaświadczy „Opowieść Małżonki Świętego Aleksego".

Przyjąwszy lojalnie fabułę średniowieczną, poetka zmienia postać tytułową, głos oddając królewskiej małżonce Świętego.

Uwielbienie, zwrócone ku Zmarłemu, jak odbite światło, pada na nią, na jej miłość mocną i wierną. Ale choć wyróżniona i wybrana wolą zbawionego ducha małżonka św. Aleksego nie przestaje cierpieć. Krzykiem jej rozdartego serca jest imię ukochanego. Intensywność przeżyć bohaterki jednaka, nieulegająca przemocy czasu, kazałaby starożytnym przyznać jej epitet boskiej. Napięcie miłości i cierpienia trwa niezmienione mimo wszystkie zmiany, zachodzące w materji. Nie dotyczą one istoty przeżycia. Bohaterka zmienia się tylko zewnętrznie, zrazu jest „młoda, piękna, pachnąca — potem zimna, harda, z zeschłą, pomarszczoną skórą". Postać ukochanego przeobraża się w jej wyobraźni, gdy wyznaje: „I zagasła mi twoja twarz i tysiączne miałeś dla mnie lica".

Ale ponad kontrast piękna i bzrydoty, młodości i starości prawo do szczęścia i zaprzeczającej mu męki bezgranicznej, bezkresnej tęsknoty roznosi się pod niebiosa łuk triumfalny pojednania. Ziemska i nadziemska miłość święcą przymierze. W tej najwyższej harmonji uderza w niebo skarga ludzkiego serca. I to jest wspaniały finał legendy, ostatnie słowa bohaterki:

Jako rybak mądry wyszedłeś wczesnym rankiem z siecią na połów;
powróciłeś z chwałą w twej sieci, w chórze Aniołów...
Lecz moje serce — rozdarte, rozdarte, ciężkie, ciężkie, jak ołów,
O Aleksy, Aleksy, Aleksy!

Siła uczucia znajduje podtrzymanie w nagromadzeniu barw, świateł, głosów, ruchów. Dobrowolny włóczęga „stwór, płaz, zjawa nieczysta" w oczach świata, śmiercią swą budzi wstrząs i rozruch w naturze, „zdawało się, że ze wszech stron pożar ogarnął

Rzym: coś się tłukło po powietrzu jak orzeł, dzwony biły i latały światła i dzieci wyległy z domów"...

Ten kontrast uwydatnia potęgę wiecznych wartości życia, ale ponad apoteozę świętości wybija się żal za tem, co śmiertelne, znikome, co nigdy już nie wróci, za podeptaną ziemską miłością.

Zwyczajem klasyków wzięła Iłłakowiczówna temat znany, popularny, by dać mu nową miarę wartości i nowy wyraz artystyczny.

Z tą samą odwagą decyzji i sądu podjęła temat nowy, dzieje uwięzienia i śmierci ks. Budkiewicza.

Opowieść o Moskiewskiem męczeństwie to misterjum polskie z okresu Wielkiej Nocy.

Dramatyczny charakter utworu wynika z samej fabuły. Oto jej zarys: Całą potęgą Rosji bije Lenin w Boga i wiernych mu wyznawców. Ale „u progu Wielkiego Tygodnia" czuje swą niemoc. Jego śmiertelnej chorobie nie mogą zaradzić lekarze „z samego Berlina". Lud rosyjski oczekuje wybawienia od przeznaczonych na śmierć kapłanów polskich. Głoszą tę nadzieję czerwoni żołnierze konwoju, zapewniający ludność: „Wieziemy polskich świętych, by sprawili cud dla Lenina". A najwierniejszy z żołnierzy Foma, świadcząc o widomym cudzie nad skazanymi ginie z ręki samodzierżcy. Na jego żądanie umiera ks. Budkiewicz. Ale w zaświecie zwycięża Polak, stając się orędownikiem sprawy zbawienia Lenina.

Epicki spokój, z jakim maluje poetka lud rosyjski sprzymierzony duchowo zgoła bezwiednie z polskimi kapłanami, przypomina obrazy Mickiewicza z Rosji (Dziadów cz. III. Ustęp), jego serdeczny stosunek do rosyjskiego chłopa, jego ujęcie heroizmu niewoli. Własnym wysiłkiem myśli i artyzmu wzniosła się Iłłakowiczówna na szczyty polskiej religji patrjotecznej.

Sylweta Moskwy według ruskiej opowieści ludowej „z białego kamienia, ciosanej, murowanej" jest wysoce celowa dla akcji. Oglądamy ją z okna pałacu Lenina, wyróżniając „kopuły, mury, kamienie, a obok... katownię i sąd i więzienie".

Gdy podnosimy oczy ku niebu dostrzegamy wśród gwiazd anioły „z piórami smutniejszemi niż co dnia". A niżej Kreml w moc szatańskę oddany „nakryty olbrzyma cieniem jak dzwonem".

Przenosimy się do Krasławia, miejsca urodzin ks. Budkiewicza, patrzymy na żał ptaków, na płynącą drożnemi koleinami boleść, słuchamy szeptów pacierzy za skazanych księży, a w ostatnim episodzie towarzyszymy umarłemu na drodze do nieba.

I scena sądu, decydująca dla akcji, w której objawia się brutalna przemoc władzy, dławiącej Rosję i wszechobecna, najwyższa potęga Boga — jak częstokroć w dramatach greckich—omówiona jest pośrednio przez usta posłańca Fomy. Ona przygotowuje epilog. Akcja zadzierzgnięta na ziemi przy świadkach niebieskich, przeniesie się w świat zaziemski. Oto Foma, przejęty cudem, składa o nim raport samodzierżcy:

Mówię tobie, batiuszka car, Włodzimierzu Iljiczu,
że widziano nad nimi anielską straż
oblicze przy obliczu.
Jak przemawiał ostatni raz na sali
towaryszcz prokurator Krylenko,
nad polskim biskupem anioł stał
z kwitnącą w ręku wisienką...

Kiedy śmierć odwróciła kartę i ustało działanie ziemskiego prawa, ustaje ból zmarłego, koi się cierpienie tych, co jego zgon opłakiwali. Męczennik zostaje orędownikiem żywych. Jego marsz ku bramom niebieskim to jedyny przebłysk wesołości w tej legendzie wezbranej łzami.

Rozstanie się bohatera z życiem, z Polską, przedstawiła poetka jako srogi ból umierającego, jako głęboki żal ziemian i niebian. Cena życia świętego jest wielka. Dlatego z ust poetki wydziera się wołanie: „Ty, Boże, widziałeś, ty, Boże, skarz siepaczy."

Godne Antygony Sofoklesa jest w legendzie przedzgonne pożegnanie księdza ze światem, z ziemią ojczystą. Przywiązanie do życia podnosi wagę ofiary, a modlitwą o zbawienie wroga daje pierwszeństwo prawu bożemu; „Zbawicielu... Zbawicielu... zbaw jeszcze jedną duszę, gorszą od tysięcy"! Po zgonie, wobec nieszczęsnej matki swego kata przyjmuje na siebie ks. Budkiewicz żarliwie, płynące z głębi serca zobowiązanie: „będę prosił u Chrystusa miłosierdzia dla twego syna. Będę na klęczkach prosił, aż kolana rozranię, aby miał nad Leninem corychlej zmiłowanie".

Duch legend Iłłakowiczówny, ich klasyczna kompozycja są poręką nieprzemijającej wartości dzieła.

Naród nasz połączy na zawsze z jej imieniem pamięć o męczeńskim zgonie ks. Budkiewicza, bo wystawiła mu poetka w słowie polskiem pomnik trwalszy od śpiżu.

ZOFJA SZMYDTOWA

PENELOPE

Wielkie bogi! Wejrzyjcie na moją żałobę!
Krzyku mi oto w piersiach i łez już nie staje,
Odkąd w boje, na Iljon, łodzie krasnodziobe,
Króla mego i pana poniosły z Achaje!
Małoż tu krwawych ofiar — o Kronido! — powiedz,
Odys ci ongi święcił, mąż nieodpłakany?!
Małoż wołów bił tucznych i białych jałowic?
Nie szłyć z dymem na żertwę kozły i barany?
Więc policz ty je! Wszystkie — młode, nieszczędzone!
I kiedy w proch przed tobą padam na oblicze,
Za sławne męża cnoty, mnie dziś ratuj, żonę —
I słuchaj mocny boże, gdy do ciebie krzyczę!
A ty—czyś żyw jeszcze, czy trup już — Laertydo!
Przybywaj straszny, w twojego proga odźwierze,
W dwór — co bez pana — plugawion gachów ohydą,
O pomstę woła! Słyszysz?! Sama już nie zdzierżę!
Jak mątwa ośmiornica, gdy kości zdruzgota,
Głodna — żer ułapiwszy, do kości się przyssie,
Tak dławi dom twój święty sobacza hołota!
Gdzie łuk twój krzywy?!
Odyssie! Odyssie!

Lwów

MARYLA WOLSKA

LIBERUM VETO

Niebezpieczeństwo zalet niemieckich. Panowanie prawa. Dwa porównania. Odradzanie się społeczeństw. Co mówi wystawa poznańska. W czem nasza siła i bezpieczeństwo.

KONFISKATA

Nr. 31 „Myśli Narodowej" uległ konfiskacie z polecenia Komisarjatu Rządu na m. Warszawę, za artykuł AL. ŚWIĘTOCHOWSKIEGO „Liberum Veto", oraz za notatkę w rubryce „NA MARGINESIE", gdzie była mowa, że Biarritz jest plażą bardzo kosztowną.

Wysyłamy Nr. 32 z opuszczeniem pominionych artykułów.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

NASZE SZCZELINY

Z powodu zwołanego do Warszawy zjazdu Polaków z zagranicy odbył się w Moskwie w dniu 3 lipca „wszechrosyjski zjazd Polaków pracujących R.S.F.RR.". Przebieg opisuje „Trybuna Radziecka" (№ 29) z 7 lipca. Przewodniczył tow. Przybyszewski, nawołując do wyboru delegatów na zjazd warszawski.

Tow. Cieślak zakończył swoją mowę:

„Trzeba aby nasi delegaci, którzy pojadą na zjazd do Warszawy powiedzieli tym panom, że kiedy wybije godzina walki, to polscy robotnicy znajdą się w pierwszych szeregach armji Czerwonej i w okopach na polu walki pokażą, jak bardzo nienawidzą polskich fabrykantów i obszarników".

Tow. Resz mówił:

„W imieniu nauczycielstwa polskiego, które wiernie stoi pod czerwonym sztandarem walki klasowej oświadczam, że nam niepotrzebna jest „opieka" wodzirejów z bogoojczyźnianego obozu, kroczących pod kontrrewolucyjnym hasłem „jedności narodowej".

Sami sobą będziemy się nadal opiekować i naszą ojczyzną jest nie Polska faszystowska, a Związek Radziecki."

Delegaci kolejowców z Mohylowa złożyli deklarację, której taki koniec:

„Polecamy naszym delegatom powiedzieć, że gdyby faszyści chcieli wyciągnąć łapę po nasz wolny kraj radziecki, to my będziemy walczyć w pierwszych szeregach w obronie jego do ostatniej kropli krwi.

Niech delegaci nasi oświadczą, iż na wędkę jedności narodowej, patrjotyzmu i religijności nikt z nas nie da się złapać.

Niech nasza delegacja powie o tych prawach, jakie dała kobiecie Rewolucja Październikowa i władza radziecka. Kobiety w naszym państwie przestały być niewolnicami domowego ogniska.

Powiedźcie tam na zjeździe, że hasło Lenina, „każda kucharka musi umieć rządzić państwem" przetwarza się w życie. Kobiety polki w Z. S. R. R. na wypadek wojny razem z mężami pójdą do walki".

Tak wygląda oficjalna atmosfera, w której żyją Polacy w Rosji. Gehenna głupiej „ideologji" na posępnem tle zamordowanych uczuć narodowych. Każdy nosi w sobie trupa, gada rzeczy, których nie rozumie, a ileżby dał, żeby zobaczyć Polskę choć raz w życiu.

W tejże „Trybunie" jest zawiadomienie, że wkrótce zacznie wychodzić w Moskwie miesięcznik, poświęcony sprawom „rewolucji kulturalnej" p. t. „Kultura mas", organ wszechrosyjskiego zjednoczenia pisarzy proletarjackich. Redaktorem będzie Bruno Jasieński.

Kiedy się wie, że taki Bruno Jasieński, właściwie jakiś Berek Zyssmann, dający ideologję walki z Polską biednym rodakom naszym w Rosji, ma przyjaciół wśród literatów warszawskich, że wszystkie żydy w Polsce piszące w razie przewrotu staną obok niego, że Tyrteusz sanacji, tak blizki steru głównego, napisał niedawno przyjacielską przedmowę do powieści Jasieńskiego, to rozumiemy, skąd w Polsce tyle dymu bolszewickiego. Wydzielają się one temi szczelinami.

P. Bandrowski kierownik literacki „Głosu Prawdy" (nazwę tego pisma Stpiczyński z Bandrowskim wzorowali na „Prawdzie" sowieckiej) zasłania swoją osobą zagranicą i w krajowym świecie oficjalnym całą literaturę polską. On jest i żydzi są, poza tem nic, chyba p. Nałkowska, bo rewolucja przyznaje prawa kobiecie. Jasieński pali Paryż, Bandrowski nasze kopalnie, żeby pokazać, jak bardzo nienawidzi stosunki kapitalistyczne. A nasi krytycy, odurzeni gazami ze szczelin, powtarzają bezmyślnie nazwiska te dla tego tylko, że mają kurs w sanacji.

O „NAŁĘCZACH" ŚWIĘTOCHOWSKIEGO

Znakomity krytyk Adam Grzymała Siedlecki ogłosił w „Kurjerze Poznańskim" (nr. 310) artykuł z powodu powieści Al. Świętochowskiego „Nałęcze" o nowej szlachcie. Oto parę urywków:

„Był i jest, jest i będzie Świętochowski nietylko wielką postacią literatury, ale i imponującą jednostką. W naszej rasie rychłych starości unikatem, podziwem musi być ten człowiek ośmdziesięcioletni, który umysłem pracuje, jakby za sobą nie miał sześćdziesięciu bez mała lat pisarskich, dziesiątków tomów i tysięcy artykułów. Co tydzień w „Myśli Narodowej" spotykamy go, w myśli świeżego, w sumieniu żarliwego i jak przed 50 laty, nieporównanego w stylu wyrażania swoich idei. A niezależnie od publicystyki nieustanna praca nad dziełami o szerszym jeszcze oddechu. Nie tak dawno, jak ukazał się drugi tom jego „Historji Chłopów w Polsce" — nowa już konstrukcja ideologiczna w nowej książce i powieść p. n. „Nałęcze".

Powieść, ale przedewszystkiem jakby uzupełnienie naukowego badania historji chłopów. Wypowiedzenie się o tem co to jest szlachta, co to jest szlacheckość. Jedno zaś i drugie — mniemam — to pragnienie rozstrzygnięcia sobie zadania: jaki zasób, jaki zasiąg możliwości kulturalnych spoczywa w przyrodzonych właściwościach polskiego plemienia..

Dziś, mówią nam „Nałęcze" Świętochowskiego, — problemat szlacheckości jest tak samo żywy, jak nim był za czasów feudalnych. Kwestja nie rodowa już, niewątpliwie — ale tak samo czujemy wszyscy potrzebę elity, jak dawniej wyczuwano potrzebę szlachty.

Ale jakim punktem widzenia kierować się przy uznawaniu lub nieuznawaniu kogoś za należącego do elity? Na to pytanie odpowiedzią jest ten niepospolity dokument myślicielstwa polskiego: „Nałęcze" Aleksandra Świętochowskiego.

To, co nazywamy społeczeństwem—mówi nam książka wielkiego naszego pisarza — to wyraźnie da się podzielić na dwie nierówne części. Większość obywateli to ci, co wszelkie zobowiązania wobec społeczeństwa wypełniają pod przymusem, czy tym przymusem będzie egzekutywa ustaw, czy terror opinji — i pewna drobna mniejszość, którzy sprawę publiczną, jak i sprawę dóbr moralnych społeczeństwa mają za swój najbliższy interes, za coś niemal ważniejszego od osobistej karjery, osobistych zysków. Ci są pierwiastkiem twórczym etyki dziejowej"...

Podpisujący się pseudonimem Viator wybitny pisarz polityczny i znawca literatury ogłosił jednocześnie w „Gazecie Warszawskiej" (nr. 200) dłuższy artykuł o „Nałęczach". O Świętochowskim pisze:

„Jest on duchem, który wzniósł się wysoko w hierarchji duchów polskich, jednym ze szczytowych produktów naszego narodowego rozwoju. Jest typowym przedstawicielem i współtwórcą pewnego okresu w rozwoju naszej twórczości literackiej i naszej myśli narodowej. Przeżył wielu ze swego pokolenia, przeżył kryzys ogromnej doniosłości w życiu narodu i danem mu jest patrzeć na to, jak w ramach odzyskanej nie-

zależności państwowej buduje się i powstaje nowa Polska. Jest też rzeczą wysoce interesującą zapoznać się z tem, jak człowiek tej miary duchowej i kulturalnej patrzy na to, co się wokoło nas dzieje. Tego zaś właśnie dowiadujemy się z „Nałęczów".

Świętochowski widzi i czuje ludzkość poprzez naród, wie że jednostka może pracować dla kultury, dla dobra i dla piękna tylko w ramach i przez pośrednictwo narodu, do którego należy. Kocha on Polskę i chciałby ją podnieść ku wyżynom.

Jakkolwiekbyśmy sądzili wartość romantyzmu i pozytywizmu, były to jednak prądy, które nas niosły w sam nurt myśli europejskiej. Nurt ten jednak niósł ze sobą ideologję, która była punktem wyjścia nowych prądów społecznych i zgadzała się z historycznym rozwojem narodów europejskich. W ciągu wieku XIX narody europejskie uległy daleko idącej demokratyzacji, co w dziedzinie duchowej doprowadzić musiało do obniżenia ich poziomu kulturalnego. Rozlewała się kultura społeczna coraz szerzej, lecz stawała się coraz płytsza. Przyszedł wreszcie kryzys gwałtowny całej cywilizacji europejskiej w postaci wielkiej wojny. Tandencje, które się zaznaczyły już przed wojną, znalazły pełny wyraz w epoce powojennej. We wszystkich krajach kultury zachodniej, a więc i w Polsce.

Najważniejszem zadaniem przyszłości jest przezwyciężenie tego barbarzyństwa, podniesienie się na wyższy stopień kultury, nawiązanie do tradycyj naszego dziejowego dorobku. W „Nałęczach" dostrzegamy troskę Świętochowskiego o przyszłość narodu: nietylko głęboki wstręt do nowoczesnego barbarzyństwa, lecz także wskazania, jakie drogi prowadzą do lepszej organizacji życie społecznego i duchowego narodu.

Forma powieściowa zwalnia Świętochowskiego od ścisłego wypowiadania się. Rozumiemy jednak, że widzi on drogę ku przyszłości przez organizowanie życia społecznego i kulturalnego, że zdaje sobie sprawę z tego, że najważniejszem zagadnieniem Polski współczesnej jest wprowadzenie nowej hierarchji i utworzenie nowej elity, by wyjść z chaosu utworzonego przez formalną demokratyzację i obniżenie poziomu życia duchowego, słowem przez wznoszącą się jeszcze wciąż falę nowoczesnego barbarzyństwa".

WYCHOWANIE NARODOWE

KURCZENIE OJCZYZNY

Zmniejszenie liczby godzin przeznaczonych na naukę historji literatury w szkołach średnich pociąga za sobą tę smutną konieczność, że dzieje tak literatury, jak kultury polskiej ma się zaczynać dopiero od drugiej połowy wieku XVI, tj. od wystąpienia Reja. Wszystko, co Polacy pisali po łacinie—a do czasów Stanisława Augusta jest to więcej, niż połowa piśmiennictwa—ma być opuszczone, czyli stracone dla umysłowości inteligenta polskiego.

Wielka, poprostu niepowetowana, byłaby to szkoda dla umysłowości polskiej: szkoda dla samopoczucia czyli dumy narodowej i jeszcze większa szkoda dla duszy polskiej. Wszyscy wiemy, że cywilizacja nasza jest młoda, jest najmłodsza między ludami wychowanemi na cywilizacji zachodnio-rzymskiej. Ponieważ w szkołach naszych uczy się francuskiego, niemieckiego, a gdzieniegdzie i angielskiego — nie uczy się zaś literatur słowiańskich, jeszcze młodszych niż polska, uczeń musi wyrobić w sobie przeświadczenie, że jesteśmy tylko przyczepką, spóźnioną przybudówką, maruderem, albo jak to Niemcy o Słowianach piszą, ogonem cywilizacji. A takie przeświadczenie w duszach tych, którzy jako sól polskiej ziemi, mają kiedyś wyrażać intelekt całego narodu, musi ludzi rozumnych czynić onieśmielonymi, lekceważącymi rodzimy dorobek i poprostu wstydzącymi się swojego pochodzenia i swojej przeszłości, tak jak parwenjusz wstydzi się i jest nieśmiały w towarzystwie prawdziwych arystokratów: o ile jest rozumny. Głupiec bowiem na wzór Nowobogackich będzie zarozumiałością i nieuzasadnionem pyszałkostwem nadrabiał swoje braki i wtedy stanie się nieznośnym w towarzystwie, przedmiotem żartów i zasłużonych docinków: U nas wogóle niema szlachetnej dumy narodowej, ale za to jest za wiele ośmieszającej fanfaronady i próżności bardzo płytkiej: wiadomo zaś, że próżność i zarozumiałość jest tylko jedną z form głupoty.

Gdybyśmy jednak między geologiczne nawarstwienia duszy polskiej wsączyli jako stały składnik dorobek epoki Bolesławów, ostatnich Piastów i Jagiellonów, znaleźlibyśmy tyle naszych, polskich walorów, tyle wielkich myśli politycznych i tyle zasług cywilizacyjnych, że inteligent, czujący się spadkobiercą owych pokoleń i czasów, bez zbytecznej zarozumiałości i niewczesnego zawstydzenia znalazłby dla swojego narodu poczesne miejsce w rodzinie narodów zachodnich i czułby się równym między nimi. Wtedy czasy upadków—za piastowskich podziałów i w epoce elekcyjnej — byłyby dla niego zwykłą kolejnością rozwitu i upadku, przez którą przechodziły i przechodzą wszystkie narody, a nie dowodem niższości rasy czy wyrazem fizjologicznego niedorozwoju. Dziś jest moda upajania się frazesem o wielkości narodu, frazesem głoszonym bez wiary i przyjmowanym z uśmiechem—ale bez przekonania u jednych i drugich, ponieważ ani jedni ani drudzy nie poczuwają się do obowiązków, jakie nakłada takie szanowne miejsce w rodzinie narodów cywilizowanych. Jest to pospolite kłamstwo patrjotyczne, a do kłamstwa uciekają się ludzie, którzy uważają prawdę za niezaszczytną, ponieważ tytułów do chwały nie znają. Nie jest więc rzeczą błachą napawanie młodych serc prawdziwą i zasłużoną chwałą, bo ich uwalnia od potrzeby zakłamywania się patrjotycznego, bo pozwala prawdzie błędów i braków spojrzeć śmiało w oczy, bo epoce „pawia i papugi" narodów umie przeciwstawić epoki wielkości, rozumu i zasługi. Tylko w ten sposób, mimo krytycyzmu i potępiania tego, co jest godne potępienia, może się wytworzyć prawdziwa nie frazesowa miłość Ojczyzny, miłość rzetelnie męska. A jeżeli mamy utrzymać niepodległą ojczyznę, musimy ją kochać: wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia, całość.

A druga szkoda jest jeszcze większa, bo pomniejsza duszę i czyni ją kaleką, niezdolną do wyleczenia się z błędów, a więc niezdolną do rozwoju i nawet wprost do życia.

Studjowanie literatury, to jest wmyślanie się w zakres myśli i uczuć, pragnień i czynów minionych pokoleń, to wyrabianie z człowieka chwili obecnej spadkobiercy, wypadkowej, sumy dorobku pokoleń dawniejszych. Francuz czuje się dziedzicem Gallów i Rzymian i Karolingów i wojen krzyżowych i miast średniowiecznych, Walezjuszów i Ludwika XIV, rewolucji i Napoleona i ostatniej wojny światowej. Inteligentny Niemiec dziś jeszcze kształtuje się na Arminiusu, na Hohenstaufach, na Lutrze i Goethe'm, na Fryderyku II i Bismarcku. Wszystkie te epoki są blizkie dzisiejszym ludziom, bo się z niemi zżyli przez czytanie dzieł literackich i przez studjowanie pomników sztuki od najdawniejszych czasów. Same dzieje narodu nie wystarczą: dla młodego umysłu są wiedzą oderwaną, abstraktem, który nabiera ciała i życia dopiero przez zbliżenie się do pustych imion przy pomocy rozczytania się w dziełach, albo pisanych przez właścicieli tych historycznych imion, albo mówiących o nich. Gdy się przeczyta, co Orzechowski pisze o Tarnowskim, Hozjuszu lub Kromerze, nabiera się znacznie żywszego wyobrażenia o nich, niżby je dać mogła najuczeńsza rozprawa dzisiejsza. Bo współczesność jedna, pociąga, przybliża i ożywia.

Jeżeli zatem polski młodzieniec ma ożywiać w swojej duszy dopiero epokę z końca wieku XVI,

to dla niego już nie Bolesławowie, ani Łokietek czy Kazimierz, ale Jagiełło i jego synowie, tudzież ludzie, którzy za ich czasów działali, zostaną abstraktem na wzór Cyrusa czy Romulusa. I zdarzenia dziejowe owych czasów nie będą żywsze i bliższe niż wędrówki Dorów albo dzieje Merowingów: to będą tylko imiona i daty.

A tymczasem jest to epoka, w której kwitną polskie miasta, kiedy Wierzynkowie, Morsztyni, Bonery, Hallery mają własne floty, budują kościoły i pomniki, prowadzą pierwsze drukarnie — kiedy polscy architekci z Urzędowa, Olkusza, Bochni są wzywani do Węgier i Czech, kiedy działa Stwosz — są to czasy kiedy słowiańszczyzna garnie się do Polski, kiedy magnaci dla nieletniego Władysława III-go stwarzają związek państw, oparty o morze Bałtyckie, Adratyckie i Czarne. Kiedy rozgrywa się pełna romantycznego uroku i wielkiej myśli epopeja bałkańska, zakończona klęską warneńską — kiedy Akademja krakowska jest w świecie chrześcijańskim słuchana na równi z paryską Sorboną — kiedy żądna wiedzy młodzież garnie się do Krakowa i z Węgier, i z Czech, i z Niemiec, i z Szwajcarji i nawet z dalekiej Szkocji, tak wielka jest sława tego uniwersytetu[1]).

Może się jakiemuś postępowcowi nie podobać, że w Krakowie w XV w. uprawiano astrologję — ale trzeba pamiętać, że wieki średnie wszędzie trudniły się tą „nauką“, która według powszechnego mniemania stała w Krakowie najwyżej. Warto zaznaczyć, że Faust uczył się w Krakowie matematyki, a my wiemy, że Wojciech z Brudzewa i jego uczeń Mikołaj Kopernik istotnie rozsławili po świecie polską naukę matematyczną. To samo odnosi się do medycyny, którą wsławił Albert Oczko, a warto przypomnieć, że w niemieckiej poezji medycyna krakowska jest równie wychwalana jak medycyna w Sorrento, kiedy pisze jeden z największych w ówczesnej Europie historyk Długosz i nowoczesny statysta Ostroróg — kiedy polska delegacja na Soborze w Konstancji ogłasza nowożytne zasady, iż nie wolno nawracać pogan przymusem i że papież nie śmie rozdarowywać krajów pogańskich jako ziemi bezpańskiej—kiedy matematyka, astronomja i medycyna w Krakowie uchodzą za najdoskonalsze — kiedy więc kwitnie rozum stanu, nauki i sztuki piękne, a państwo rozszerza się na północ, wschód i południe, niosąc prawdziwą oświatę.

Gdy się te czasy poznaje tylko z suchych ekscerptów historycznych, nic z ich rozumu, wielkości i piękna nie przenika do duszy, nic nie staje się cząstką świadomości.

[1]) Jak wielką sławą cieszył się w świecie Uniwersytet Krakowski w XV i na początku XVI wieku, świadczy popularna książeczka niemiecka z początku XVI wieku p. t. „Historia von Dr. Johann Fausten“. Bezimienny autor opowiada o uczoności owego Fausta, który najlepiej zdał egzamin na doktora teologji z pomiędzy szesnastu najwybrańszych magistrów niemieckich, Ukończywszy wszystkie szkoły niemieckie zagragnął jeszcze bardziej pogłębić swoją wiedzę i:

„Begab sich also gen Cracau nach Polen, eine der Zauberei halber vor Zeiten berühmte Hochschule und fand allda seines Gleichen, die mit chaldäischen, persischen, arabischen und griechischen Worten, figuris, charakteribus- coniurationibus, incantationibus umgingen, oder wie sonst solche Beschwörung und Zauberei genant werden mag. Das gefiel Doctor Fausto wohl, speculierte und studierte darin Tag und Nacht und wollte sich hernach keinen Theologen mehr nennen lassen, sondern ward ein Weltmensch, ein Astrologus und Mathematicus, nannte sich einen Doctor der Medicin, half auch erstlich wielen Leuten mit Kräutern, Wurzeln und Wassern, Recepten und Clystieren und war dabei redselig und in der göttlichen Schrift wohlerfahren“ i t. d.

Wiek XVI jest już wiekiem zastoju. Szlachta zabiera dla siebie monopol władzy, urzędów i dochodów—i woła o zachowanie nabytków. „Kto nie idzie naprzód, ten się cofa“. Ów zastój przemieni się wnet w cofanie się. Przychodzi szlachecki barok, a szkoła w ten sposób okrojona co do nauki literatury, ma kształcić w naszej młodzieży barokowe dusze. Nauka i zasługa, która wyniosła mieszczan Hozjusza, Kromera do godności kardynalskiej, chłopu Janickiemu dała wieniec poetycki Europy, a mieszczaninowi Górnickiemu starostwo, traci powoli znaczenie. Nie wiedza, praca, zasługa, ale urodzenie i protekcja zapewniają powodzenie, W tej chwili, kiedy na zachodzie pastuch świń zostaje papieżem, przeprowadza się w Polsce ustawę, że nieszlachcic nie może zostać nawet kanonikiem kapitulnym. Oto barok szlachetczyźniany.

Wyrzucenie więc literatury z końca średniowiecza i z czasów humanizmu z nauki szkolnej pomniejsza i wykrzywia młode dusze, czyni je jednostronnemi— wyobraźnia narodowa kurczy się przez to do Kmicica, jako arcywzoru i uosobienia polskości. Karliński, Florjan Szary, Zyndram z Maszkowic, Ligęza, Tarnowski, stają się czemś obcem — Opaliński, Janusz Radziwiłł, a w najlepszym razie Kordecki i Czarniecki stają się jedynymi protoplastami dla dzisiejszego pokolenia.

Barokowe dusze trzeba osobno omówić.

JAN ZAMORSKI

NAUKA I LITERATURA

SZEKSPIR JAKO AGITATOR

JAK wiadomo, „tajemnica“ Szekspira polega na tysiącznych zagadkach, które gęstą mgłą otaczają osobę twórcy i wyłaniają się z każdej nieomal stronicy jego prac. Mimo że epokę naszą od jego dzieli zaledwie trzysta lat, mimo że nigdy nie uległ zapomnieniu, że zeszedł do grobu w pełni sławy i powodzenia, że już w siedem lat po śmierci ogłoszono zbiorowe wydanie jego, mimo że jest członkiem narodu, który nie uległ od tego czasu żadnym kataklizmom dziejowym, przerywającym ciągłość kulturalnego rozwoju i historycznej pamięci, — mimo to wszystko nauka wie znacznie mniej o Szekspirze, aniżeli o Wergiljuszu, którego dwutysiączną rocznicą urodzin święcić będziemy w przyszłym roku. Mniej wiemy o Szekspirze, niż o Sofoklesie z przed 2400 lat. Już to samo jest niemałą zagadką, że najpotężniejsze umysły trudziły się nad rozwiązaniem najbardziej natrętnych zagadek szekspirowskich i nie zdołały dotąd odpowiedzieć na najprostsze nawet pytania, które każdy sztubak mógłby zadać swym nauczycielom literatury. Pięć tysięcy, zdaje się tomów, które dotąd różni uczeni i nieuczeni poświęcili Szekspirowi, są między innemi dowodem, że łatwiej jest wspiąć się na Ewerest, odkryć rad, nawet napisać mądrą książkę o Szekspirze, aniżeli przeniknąć tajemnice takiego mocarza pióra, jakim był autor „Hamleta“.

Tradycyjne te uwagi z konieczności się nasuwają przy każdej próbie nowego prześwietlenia zasłony, za którą stoi zagadkowy Szekspir, uśmiechając się prawdopodobnie. Świeżo, w dwumiesięczniku *„Revue Anglo-Americaine“* (Nr. 4, 1929), wydawanym przez dwóch profesorów Sorbony, niejaki pan B. M. Ward, z naturalną w takich wypadkach zarozumiałością, ogłosił studjum, tłomaczące, iż tajemnica Szekspirowska dlatego dotąd istnieje, ponieważ uczeni zapomnieli poprostu, że Szekspir tworzył w okresie wojny angielsko-hiszpańskiej, która pod względem doniosłości i skutków, była wielce po-

dobna do ostatniej wielkiej wojny 1914—1918 i wojen napoleońskich, z tą różnicą, że trwała znacznie dłużej, albowiem przez całe prawie życie jednego pokolenia. O tej wojnie i jej doniosłości w życiu narodu angielskiego, zdaniem p. Warda, zapomnieli wszyscy angielscy historycy literatury. Dopiero p. B. M. Ward zwrócił uwagę na ten kapitalny punkt, na którym oparłszy się, zamierza przewrócić do góry nogami całą dotychczasową szekspirologję i nowego, „prawdziwego, Szekspira sprezentować oszołomionemu światu.

Argumenty swoje p. Ward wyłuskuje z budżetu państwowego Anglji w okresie królowej Elżbiety, z ówczesnego obciążenia podatkowego i wskaźnika drożyźnianego. Z wywodów jego, bądź co bądź ciekawych, wynika, że w ostatnich siedemnastu latach swego panowania Elżbieta wydawała na armję i marynarkę 73% dochodów państwowych, a tylko 27% na dwór i administrację kraju, że obciążenie podatkowe za jej rządów podwoiło się w r. 1589, potroiło się w r. 1593, a spoczwórniało w r. 1601 (czterokrotnie podobnież wzrosły podatki w Anglji w latach wielkiej wojny 1914 — 1918). W związku z wojną angielsko-hiszpańską urosła również drożyzna, cena zboża w drugiej dekadzie wojny (1595—1604) podniosła się w Anglji o 106% (podobnie jak produkty spożywcze w czasie ostatniej wojny o 115%). W ostatnim okresie wojny z Hiszpanją panował głód w Anglji, znacznie większy, aniżeli w r. 1917.

Jakie wnioski z tych faktów wysnuwa p. B. M. Ward? Oto, że Anglja za czasów Szekspira nie była taką, jaką nam malowali dotąd historycy, nie była „wesołą Anglją" (*„old merrie England"*), nie tkwił w niej ani pokój, ani dobrobyt, przeciwnie, w ostatnich siedemnastu latach panowania Elżbiety jęczała ona pod brzemieniem podatków, drożyzny żywności, głodu, że atmosfera, w jakiej pracował Szekspir, była atmosferą wielkiej wojny i związanych z nią wysiłków, braków, cierpień.

Możnaby się z tem zgodzić, że czynnik wojenny w życiu szekspirowskiej Anglji był dotąd zbyt słabo uwzględniany, chociaż Taine zwrócił uwagę, że renesansowa „wesoła Anglja była wesołą na sposób dość makabryczny i w niezapomnianym opisie ówczesnych warunków teatralnych wyraźnie wskazał na dramatyczne rysy epoki. Ale p. B. M. Ward idzie znacznie dalej. Opierając się na jednym z ustępów Tomasza Nashe'a *„Pierce Pennilesse"*, interpretując go jednostronnie, wysnuwa wniosek, że teatry londyńskie odgrywały wielką rolę w wojnie anglo-hiszpańskiej przez to, że odwracały umysły od kłopotów i cierpień dnia codziennego i że dzięki sztukom historycznym podtrzymywały ducha patrjotycznego i wojennego, a czyniły to świadomie, z wyraźną tendencją. Wskutek tego należy produkcję owej epoki zbadać pod tym „wojennym" kątem widzenia i odnaleźć w niej motywy celowej propagandy.

Sam jednak odkrywca znalazł zaledwie kilka ustępów w dziełach Marlowe'a, Peele'a, kilku anonimowych ptsarzy ówczesnych, oraz w trzech historycznych „kronikach" Szekspira (Król Jan, Henryk V i Henryk VI), słabo potwierdzających jego tezę o propagandowo-wojennym charakterze ówczesnej dramatycznej twórczości. Pan B. M. Ward w sposób zabawny wywija się z trudności, jakie sam sobie stworzył, tłumacząc małą liczbę odnalezionych dowodów tem, że trzeba dużo czasu, abyśmy się odzwyczaili od patrzenia na dzieła szekspirowskie, jak na sztuki, które powstały w normalnych warunkach pokojowych, mające na widoku jedynie względy kasowe i gusty publiczności, i dlatego prosi miłośników Szekspira, aby odnaleźli w nim agitatora wojennego—sami... Daje im łaskawie jedną wskazówkę: motywy propagandowo-wojenne są jakoby wyrażone przeważnie w pierwszej i ostatniej scenie każdej sztuki... Natomiast zapowiada, że wkrótce udowodni, iż wojenno-propagandowa twórczość dramatyczna w epoce Szekspira została zapoczątkowana przez królowę Elżbietę, jako świadoma akcja polityczna, że w tym celu stworzyła ona specjalny tajny departament, na którego czele postawiła hrabiego Oxford, on zaś zorganizował sztab współpracowników, złożonych z jednej strony z lorda Derby, Franciszka Bacona a z drugiej z uczonych uniwersyteckich oraz aktorów, jak Marlowe, Peele, Szekspir, którzy stanowili ogniwo łączne między nim i teatrami.

Wszystko bardzo pięknie. Ale czy pan B. M. Ward tego rodzaju oświetleniem epoki i polityki elżbietańskiej przyczynił się w jakikolwiek sposób do rozwiązania choćby jednej zagadki szekspirowskiej? Dalipan, że ani jednej. Po dawnemu będą uczeni w Szekspirze głowili się nad ich odgadnięciem, po dawnemu miłośnicy Szekspira będą się nim nabożnie i nieuczenie zachwycali, po dawnemu autor „Romea i Julji", jego postać, dzieła i poglądy pozostają w mroku, choćby pan B. M. Ward odkrył w nim — agitatora wojennego, co mu się zresztą dotąd nie udało.

STEFAN OLSZEWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Staraniem Tow. miłośników książki w Krakowie a drukiem Anczyca wyszła zapowiedziana już dawniej książka Kazimierza Czachowskiego p. t. „Jan Kasprowicz. Próba bibljografji" (Str. 63, egz. 450). Wydanie wytworne, staranne, a treść jako pracowite zebranie materjału, godna uznania. Materjał podzielony na dwie części: dzieła poety i pisma o nim, bardzo przejrzyście pogrupowany według tego, czy rzecz ukazała się w książce, czy też w czasopiśmie. Wydań książkowych samych poezyj oryginalnych autor wymienił 20, nie licząc zbiorowego wydania z r. 1912. Nadto wykazał 27 utworów, do żadnego z tych wydań nie wcielonych. Przekładów dzieł obcych w książkach 88, a w czasopismach pozatem 17. Przemówień publicznych Kasprowicza 12, studjów literackich 16. Prac publicystycznych szczegółowo nie podał, wskazał tylko pisma i lata. Przekłady na obce języki dzieł K—a autor pominął. Z tego co pisano o Karpowiczu: w książkach osobnych 14 (tutaj powinien był wpisać też pracę Borowego, która wyszła w odbitce z Przeglądu Współcz.), w książkach innych między szkicami 67 pozycyj, w czasopismach 221. Nie uwzględnił lat 1927 — 29, za ten czas bowiem bibljografję bieżącą prowadzi „Ruch Literacki". Nie jest to więc bibljografja wyczerpująca, bo brak także ustalenia pierwszego druku każdego z utworów. Autor powołał się tylko na pracę już dokonaną przez L. Bernackiego w wydaniu zbiorowem. Ale teraz mamy już bibljografję całkowitą: Bernacki, Czachowski, Ruch Litecki. Jakaż to dogodność dla badaczy!

*

Silne wrażenie robi z talentem napisana opowieść Kamila Giżyckiego „Przez Urjanchaj i Mongolję", (Lwów 1929. Wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. S. 240, ilustr., mapa), Młody oficer polskiej dywizji Syberyjskiej opisuje dzieje swoich wędrówek azjatyckich, pełne ciężkich przeżyć. W literaturze podróżniczej zajmie ta książka jedno z pierwszych miejsc

*

Ostatni zeszyt „Przeglądu Współczesnego" (za lipiec) zawiera między innemi interesujące rozprawy Stan. Adamczewskiego „Pojęcie romantyzmu u Stan. Brzozowskiego", oraz Wład. Wolerta „Mechanizm i dusza prasy współczesnej". W artykule wstępnym prof. Stan. Estreicher oddaje swoją wiedzę i talent operowania sofistyką w celu udowodnienia, że sanacyjna walka z „partyjnictwem" ma uzasadnienie dziejowe. A dosyć trudno jest dowieść, że Polska potrzebuje niszczenia partyj narodowych, aby mogła powstać mafja.

*

Nakładem Tow. Naukowego we Lwowie wyszło piękne studjum historyczno-literackie Ignacego Kozielewskiego o Łukaszu Górnickim. Jest to osobne wydanie z drugiego tomu Archiwum, Tow. Naukowego (działu I filologicznego). Zwrócić należy uwagę na wydawane bez rozgłosu kapitalne dzieła lwowskiego Tow. Naukowego. Jest tam kopalnia wiedzy o dawnej Polsce. Zasługa ta czcigodnego O. Balzera, który Towarzystwo stworzył i prowadzi.

*

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pierwszym uczonym skandynawskim, który zainteresował się kulturą jugosławian był prof. Olaf Broch z Oslo. Zajmował się on połudn.- słowiańskimi językami i napisał rozprawę o serbskich i chorwackich djalektach. Po wojnie światowej wzrasta zainteresowanie wśród tamtejszych uczonych bałkańskimi słowianami. Tak prof. Ekblom z Upsali zapoznaje się z serbo-chorwacką i bułgarsko fonetyką, o której pisze pracę naukowa i drukując w czasopiśmie *„Le monde Oriental"*. Docent z Lund Hannes Sköld pracował nad sztokawskim djalektem. Dużo pisał o kulturze jugosłowiańskiej prof. Alfred Jensen; dość wspomnieć o jego rozprawach: o „Osmanie" Gundulicza, *Smerti Smail Age Cengica*" Mażurawicza i wielkiej monografji o Bułgarji. Obecnie najintensywniej pracuje w tej dziedzinie młody uczony Artur Almhult byłу słuchacz uniwersytetu w Zagrzebiu, gdzie studjował dłuższy okres. Zajmuje się on serb-chorwacką akcentologją. Najnowsza praca Almhulta wydana została w 1926 r., w której pisze on m. in. obszernie o narodowej poezji jugosławian. Przetłumaczył Almhult też na jęz szwedzki *„Snirt majke Jugowicza"* — arcydzieło literatury połudn.-słowiańskiej.

Dodać należy, iż prof. O. Broch, a potem Jensen spędzili pewien czas na studjach w Warszawie. Broch jako młodzieniec studjował fonetykę języka polskiego w 1891 przy pomocy Kryńskiego i Karłowicza.

*

Jednym z najbardziej uzdolnionych i pracowitych uczonych chorwackich, które całe życie swoje poświęcił archeologji Dalmacji jest ks. dr. Bulicz.

Jego ostatnia praca naukowa: *Pałaca cara Dioklecijana u Splitu* ukazuje nam genezę, rozwój i strukturę djoklecjanowego pałacu — jednego z największych arcydzieł świata antycznego. Czwarty rozdział książki poświęcony jest specjalnie opisowi pałacu, jego murów, bram, wewnętrznemu urządzeniu, cesarskiemu mauzoleum i dioklecjańskiemu wodociągowi. Co się tyczy architektury pałacu ks. dr. Bulicz uważa, iż był on budowany w ściśle antycznym stylu przez majstrów greckich.

Pałac Dioklecjana został zniszczony w 615 r. przez Awarów, a na jego ruinach założone zostało miasto Split, zajęte wkrótce potem przez słowiańckich przybyszów. Z całej budowii Dioklecjana pozostało tylko mauzoleum.

*

Rewolucyjne Zgromadzenie narodowe Czechosłowacji uchwaliło jeszcze w 1919 r. ustawę o obowiązkowem zakładaniu publicznych bibljotek gminnych. Było to pierwsze ustawowo ujęte rozporządzenie tego rodzaju w Europie. Optymiści w kraju spodziewali się od kroku tego natychmiastowej zasadniczej zmiany stosunków, które na tem polu działalności kulturalnej pozostawiały dośc dużo do życzenia, pomimo, że na ziemiach czeskich nie było już przed wojną prawie analfabetów. Cudów się naturalnie nie doczekali, ale najnowsze statystyki stwierdzają, iż w 1928 r. istniało już w republice 11.600 bibljotek gminnych utworzonych na podstawie i w ramach powyższej ustawy. Ogólna liczba książek w bibljotekach tych zgrupowanych wynosi 5.150.000. Do tego dochodzi jeszcze 2.700 bibljotek z 260.000 tomami na Słowacji oraz kilkaset bibljotek z 28.000 książek na Rusi Karpackiej. Nie osiągnięto tu jeszcze szczytu tego, jaki zamierzali uzyskać w tej dziedzinie inicjatorowie ustawy, ale nie można też powiedzieć, iżby okres pierwszych lat dziesięciu przeminął pod tym względem bez echa. Dziś przypada na dwóch mieszkańców kraju zaledwie po jednej książce w bibljotece gminnej, co stanowi wynik mało zadawalający, ale poprawa jest aż zanadto widoczna.

*

Niestrudzoną propagatorką naszej kultury w Hiszpanji jest powieściopisarka i publicystka hiszpańska p. Sofia Casanowa. Nie mówiąc już o stałej rubryce *„Desde Polonia"* (Z Polski), zaznajmniającej z życiem państwowem, kulturalnem i społecznem Polski czytelników najbardziej rozpowszechnionego pisma *„ABC"* szczera i gorąca przyjaciółka naszego narodu, zdołała uczynić coś, co zasługuje no szczególniejszą uwagę i wdzięczność: oto bowiem w ostatnich czasach dzięki jej staraniom wymieniony dziennik wydał dwa numery ozdobne, bogato ilustrowane i obfitujące w treść, a poświęcone jeden Warszawie, drugi zaś Wilnu. W innem znakomicie redagowanem piśmie *„Raza Espanola"*, ukazującem się w odstępach miesięcznych, znajduje się reprodukcja obrazu Simmlera „Śmierć Barbary Radziwiłłówny" obok zaś piękny dłuższy wiersz p. Casanowa: *„Canto de Leyenda"* (Pieśń Legendy), którego treść dotyczy tego epizodu historji Polski.

*

Wystawa Prasy Ibero-amerykańskiej w Sewilli, zorganizowana bardzo starannie, daje jasne i dokładne pojęcie o całokształcie wydawnictw perjodycznych w Hiszpanji, Portugalji oraz Ameryce łacińskiej, zarówno dawnych (zgromadzono tam bowiem najrzadsze nawet egzemplarze), jak i najnowszych.

TEATR

SEN O BOLESŁAWIE ŚMIAŁYM

PRZYŚNIŁ się Wyspiańskiemu Bolesław Śmiały.

Sen miałem taki i w tym śnle widziałem
rzeczy, ku którym sercem gonię całem...

I pokazuje, co i jak mu śniło. Ułożył dramat w 3-ch aktach p. t. „Bolesław Śmiały". Dramat ten wystawił teraz teatr Polski. *)

Ludzie prości lubią opowiadać sny i słuchać opowiadań. Ich to wzrusza bez względu na formę. Cenią sny mistycy ze względu również na treść, bo to są wiadomości z innego świata. Ludzie oświeceni potrzeby tej nie zbyli się, stawiają jednak warunek, żeby sen epowiedziany był artystycznie. Na to właśnie istnieje Sztuka.

Właściwie wszystko, co się poetom przywidzi, jest ich snem. Dzieje poezji, to dzieje snów ludzkości. Dla czego człowiek oświecony nie ceni snów surowych? Bo treść ich nie jest zorganizowana. Wiele rzeczy śnić się może i to już przestaje być ciekawe; tak samo jako wiele rzeczy zdarzyć się może w życiu. Ale czyż reporter, spisujący zdarzenia, stwarza coś dla umysłu?

Dopiero sztuka zdolna jest ze snów i zdarzeń uczynić coś znaczącego, co może wzruszyć i zastanowić. Rostworowski jako artysta zrobił teraz ze zdarzenia, które w dzienniku się pominęło, wartość trwałą, która żyć będzie w sztuce tem, co on z siebie, jako organizator w zdarzenie włożył.

Najbardziej typowym wyobrazicielem poety był Wyspiański. Na nim można demonstrować wykład psychologji poezji. Był to człowiek, który śnił. Ponieważ śnią się rzeczy tak czy owak przeżyte osobiście, czy z narracji, czy ze skojarzeń, więc twarz mu się odwróciła w tył — takim go widzimy. Urodził się i wychował, jak mól, w archiwum krakowskiem. Jego mózg pełen był przeżyć historycznych narodu. Ta wiedza, którą kochał, do której lgnął całem sercem była materjałem legendy; ten materjał organizowało wzruszenie poetyckie.

A co do wzruszenia, to ono ma znowu zawsze coś fizycznego — ze zmysłów. Prąd musi znaleść bodzice w zmysłach, aby się mógł rozejść po nerwach i wywołać obraz centralny, koło którego materjał umysłowy się zorganizuje. Czytałem, że lekarze greccy pytali chorego przy djagnozie o sny i z ich treści rozpoznawali miejsce cierpiące w organizmie. I nie mylili się.

Kiedy słucham Wyspiańskiego, to mnie nie tyle interesuje, jako krytyka, co on wiedział, co myślał o tem czy owem, ale to, co jest siłą organizacyjną jego wyobraźni poetyckiej, na co on nawleka obrazy, co go fizycznie poruszało, że się wzruszał poetycko, gdy mógł przecież spokojnie być archiwistą.

Tem miejscem chorem, które w poecie jest właśnie miejscem dodatniego impulsu twórczego, była nęcąca symbolicznością topografja Wawelu i Skałki z arterją Wisły, której ruch udzielał się jego wyobraźni; tem miejscem organicznem były zmysły, na które działała przyroda wśród tych murów antycznych, gdzie woda postaciuje płynący czas, a wiatry świszczące w ścianach — jęk przeszłości.

Co daje pochop do odtwarzania wawelskiej prze-

*) Grano już ten dramat w Warszawie po śmierci poety w teatrze Wielkim. Grał króla Śliwicki, rapsoda Kotarbiński. Przed kilku laty wystawiono tę sztukę w teatrze Letnim ze śp. Tarasiewiczem. Widziałem ją we Lwowie za Pawlikowskiego z Sosnowskim królem, Chmielińskim rapsodem i Ordonówną — Krasawicą. Pierwszy raz grano „Bolesława" w Krakowie w r. 1903 pod osobistym kierunkiem Wyspiańskiego z tą samą główną obsadą, co we Lwowie; Rapsoda grał Mielewski. Dekoracje, kostjumy malował autor, on też dał pomysł trudnej bardzo inscenizacji.

szłości? Wszystko w tle jak było, tak jest: ta sama rzeka, te same mury, ten sam wiatr, ten sam—człowiek. Coś przewiało, ale czy umarło? Schwytać to można tylko tęsknotą, w snach dogonić.

„Człowiekowi“ dzisiejszemu śni się męka, dlaczego zabił biskupa Stanisława. Skupia się w jego duszy tysiącletni sen narodu, który o tem myślał w legendzie. Staje mu w oczach obraz czasów owych; organizuje się wedle danych plastycznych, jakie są dzisiaj. Więc ten dwór królewski rośnie mu z chaty dzisiejszej—to chata kmieca w kwiat bajeczny budownictwa rozwinięta. Ten król—to pewno bajeczny krakowiak w sukmanie,—kwiat chłopa. A zatem zbrodnia i poczucie dobre człowieka dzisiejszego, walka doczesności z głosem zaświeckim sumienia, tarcie państwa i kościoła, prywaty i miłości ojczyzny — wszystko to organizuje się w symbolicznym kwiecie koło zdarzenia i nabiera znaczenia nauki. Nie przez to, że uczy historji, lecz że uczy wzruszać się życiem na wielkich przestrzeniach historycznych.

Darmo myśleć o samem zdarzeniu historycznem. Czyż to nie wszystko jedno, co poeta o niem wie, czy ściśle i od kogo? Czy Galla ma w pamięci, czy Kadłubka, czy Wojciechowskiego. Słuchacza porywa to, że poeta się męczy we śnie, sensem zdarzeń ludzkich, które były i są i będą i płyną, obciążając potomnych głuchą pamięcią, która im gra w duszy jako tęsknota, łączy życie ze światem zmarłych, że niewiadomo, czy śmierci wołać, czy życia. Duch z przeszłości świszcze w ścianach, darmo zabić rapsoda — duch w człowieku jest jak Świst-Poświst biegnący stajami stuleci w przestrzeń czasów nieskończoną.

Jak to we śnie bywa, że człowiek „goni, ściga, gna“, a coś nogi zatrzymuje. Kogo goni?

Dnia wczora i zawczora —
lata, co było łoni,
Za szczęściem tem w pogoni,
co znikło.

W ciężkim śnie aktu trzeciego woda zalewa scenę widzenia. To Wisła, ktoś ze dna woła, chwieją się kręgi wód, wynurza się posąg. Wreszcie wszystko w trumnę się zamienia, trumnę promieniejącą.

W tym ciężkim śnie kogo patrzymy: króla, czy poetę? Raczej poetę. Bo to on stwarza nowe zdarzenie, w którem sam jest bohaterem. Jego mękę patrzymy, jako naszego Rapsoda, szukającego dla swej tęsknoty wyzwolin w śmierci. Bo sen jest postacią śmierci. Poeta to o sobie mówi:

Tęsknotę jeno wielką mam
za tem, co hej w oddali —
co słyszę, kiedy pieśni gram,
co się w mym śpiewie żali.
Nie wróci, nie — daremno chcę —
Śmierć jeno mnie ocali.

Czyż poeta w książce czy na scenie filozofji uczy nas lub historji? Nie, on uczy męki swojej i radości. Jest prawo stwarzania, że nie zostawi tych wzruszeń na swoją własność, lecz że wstaje w nim artysta, aby w dziele te swoje stany utrwalić. I stwarza ze snów swoich rzecz organizowaną, rzecz dostępną, więcej nawet, od której oderwać się nie możemy, bo w niej jest coś naszego. Każdy śni po swojemu, ale nie każdy jest ofiarnym mistrzem.

Tak się odbywa korespondencja dusz między poetą a publicznością. Poeta w roli artysty pracuje na to, aby stworzyć dla ludzi takie formy plastyczne, któreby nas przyprawiły o takie wzruszenie, jakie on sam przebywał. Więc gdy publiczność chce zdać sobie sprawę z tego, jak on to zrobił, że ją wzruszył i zwraca się z tem pytaniem do krytyka, to zaiste ten nie ma wykładać kursu logiki filozofji, historji czy geografji (rzeczy składające się na treść wiedzy poety), lecz niech powie o naturze jego wzruszenia i sile jego woli twórczej, którą cienie snu swego chwyta, ciało im daje malarskie i nerwy nasze nastraja, kolebiąc melodją ballady, że sami się wzruszamy.

Teatr ma zadanie poetyckie przed sobą. Obudzić musi w sobie wzruszenie, z którem przystępował do dzieła poeta i za niego dużą część pracy wykonać. Teatr Polski wiele dokonał w duchu zamierzeń Wyspiańskiego. Istotnie poruszył publiczność. Jest to zasługa zbiorowa nakładcy, bo wystawiono rzecz bogato, smaku dekoratora, reżyserji, a zwłaszcza artystów: Adwentowicza w roli króla, Junoszy-Stępowskiego — Biskupa, Buszyńskiego — Rapsoda, Pancewicz-Leszczyńskiej — Krasawicy, Jasińskiej — Królowej, Staszewskiego, Strachockiego, „niewiernych żon“: pp.: Życzkowskiej, Modrzewskiej, Sulimy i Kuniny — oraz wielu innych, którym przypadły role pomniejsze.

Z. W.

NA MARGINESIE

Zatwierdzenie konfiskaty

Wydział VIII k. Sądu Okręgowego w Warszawie, sekcja 4 zk. nr. 677 komunikuje naszej redakcji:

„W myśl art. 77, 30, 33. Rozp. Prez. Rzplitej z dn. 10.V 1927 r. (Dz. Ust. 45 z dnia 24.V 1927 r.) Wydział Karny Sądu Okręgowego w Warszawie przesyła do ogłoszenia treść decyzji Sądu załączoną w odpisie:

„Wyciąg z dziennika posiedzenia Gospodarczego Wydziału VIII karnego Sądu Okręgowego w Warszawie odbytego w Warszawie w dn. 10 lipca 1929 r.

Upatrując w treści artykułu p. t. „Ofensywa“, zamieszczonego w nr. 28 czasopisma „Myśl Narodowa“ z dn. 7 lipca r. b., cechy przestępstwa przewidzianego w art. 154 i 532 kk. na zasadzie art. 76 i 77 Rozp. Prez. Rzplitej z dn. 10.V 1927 r. o prawie prasowem dokonane przez Komisarjat Rządu na m. Warszawy zajęcie tego czasopisma zatwierdzić i rozpowszechnienie go zakazać“.

(podpis nieczytelny).

Jeszcze w r. 1928 tego rodzaju decyzje, zatwierdzające konfiskatę, kończyły się zdaniem o oddaniu sprawy prokuratorowi. Prawo przewiduje rozprawę sądową, pociągającą do odpowiedzialności wydawnictwa za popełnione „przestępstwo“. Teraz, jak widzimy, Sąd Okręgowy, akceptując fakt, dokonany przez policję, nie wyciąga z niego tej konsekwencji proceduralnej. Nie mamy więc w tym wypadku żadnej możności udowodnienia, że przestępstwa nie popełniliśmy.

W decyzji Sądu nie ma mowy nawet, kto przestępstwo popełnił. Artykuł był podpisany przez Adolfa Nowaczyńskiego. Tytuł jego brzmiał: Antiwersal.

BANK HANDLOWY w WARSZAWIE S.A.

ROK ZAŁOŻENIA 1870.

Centrala w WARSZAWIE ul. TRAUGUTTA 7/9

KAPITAŁ ZAKŁADOWY 20.000.000.—

Adres telegraficzny Centrali i wszystkich Oddziałów z wyjątkiem Wilna „HANDLOBANK".

Adres telegraficzny Oddziału w Wilnie: „HANDLOWY — WILNO"

Oddziały miejskie: Królewska 6, Tłomackie 1.

Oddziały prowincjonalne: Baranowicze, Będzin, Brześć n/Bugiem, Częstochowa, Kalisz, Katowice, Kowel, Łódź, Lublin, Lwów, Płock, Radom, Równe, Sosnowiec, Wilno, Włocławek.

„MORZE"

Jedyne w Polsce czasopismo ilustrowane, poświęcone zagadnieniom morskim i kolonjalnym.

WYCHODZI 1-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Marynarka Handlowa i Wojenna, Żegluga Morska, Sprawy Portowe, Literatura Morska, Sport Wodny, Bogata Kron. Morska, Dział Kolon.

Każdy numer zawiera obfitą treść oraz kilkadziesiąt ilustracyj i rysunków w tekście. Cena numeru pojedyńczego 1.20 gr.

Pernumerata roczna zł. 12, półroczna zł. 6, Konto czekowe PKO 9747.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, KRÓLEWSKA 9, M. 6. TEL. 315-88.

Administracja na żądanie wysyła bezpłatne numery okazowe „MORZA".

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ZORZA"
wyszła świeżo książka p. t.

Dzieje Polski lat ostatnich
od roku 1865

Książka jest dziełem prof. WACŁAWA SOBIESKIEGO i stanowi osobne, niezmienione wydanie tomu III-go jego „Dziejów Polski". Posiada wszystkie zalety dzieł tego pisarza. Nowe wydanie zostało zaopatrzone w 20 ilustracyj, portrety postaci historycznych omawianej epoki.

Książka ma 245 stron druku. Kosztuje 5 złotych.

Nabywający „Dzieje Polski lat ostatnich" za pośrednictwem „Myśli Narodowej" nie ponoszą kosztów przesyłki książki.

Najstarsza i Największa Fabryka w Kraju

OBIĆ PAPIEROWYCH

TOW. AKC.

„J. FRANASZEK"

WARSZAWA, WOLSKA 41,

TEL. 1-71; 1-73, 1-75; 1-79; 203-27:

Kapitał Zakładowy 4.284.000.

Rok stuletniego jubileuszu: 1829—1929

MAGAZYN DETALICZNY

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr. 15 TEL. 1-72

Obicia dla wszystkich:
od najskromniejszych do najwytworniejszych.

ISTNIEJE OD 1838 ROKU.

S. HISZPAŃSKI

SZEWC

W WARSZAWIE,

ul. Krakowskie Przedmieście 7

ISTNIEJE OD 1838 ROKU.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15, PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM